Legacya Stanisława Hozyusza

do

cesarza Karola V. i króla Ferdynanda I.

w roku 1549.

Napisał

Zygmunt Wurst.

(Ciąg dalszy).

Trzecim punktem instrukcyi była sprawa pruska: w roku 1530, w dniu 14. listopada, otrzymuje książę Albrecht pozew, nakazujący mu stawić się przed trybunałem Rzeszy, jako przywłaszczycielowi Prus po ich sekularyzacyi. Ponieważ zaś na podstawie traktatu z r. 1525 król polski przyrzekł być Albrechtowi opiekę, przeto Albrecht przesłał doręczony pozew Zygmuntowi Augustowi i nawzajem od niego edykt otrzymał, aby przed żadnym sądem prócz jego nie stawał. Gdy Albrecht do rady swego zwierzchnika się zastosował i przed sądem cesarskim nie stanął, wyrzeczono nań w roku następnym dekret banicyjny, a w r. 1536 także na stany pruskie jako pomocników Albrechta,[1]) o czem Albrecht zawiadomił swego zwierzchnika, donosząc, że przychodzi mu wszelkiego rodzaju gwałtów i krzywd rzeczywiście doznawać. Z tego powodu Jan Dantyszek, jeden z najwybitniejszych dyplomatów polskich XVI. wieku, bawiący w tym czasie przy cesarzu Karolu V., podążył z nim przez Mantuę, Trydent, Insbruk i Mo-

[1]) Eichhorn, Der ermländische Bischof Stanislaus Hosius, T. I., str. 90.

nachium na sejm Rzeszy do Augsburga, gdzie stanęli 15. czerwca r. 1530. Tam bronił Dantyszek praw Polski i księcia pruskiego przed mistrzem niemieckim Walterem von Kronberg, jednakowoż usiłowania jego nie odniosły skutku, a cała sprawa odłożona została do najbliższego sejmu. [1]) Wysłano więc w tej samej sprawie marszałka koronnego Opalińskiego, który jednak nic innego nie sprawił prócz tego, że banicyę do czasu zawieszono. Także listami domagał się Zygmunt wkrótce potem cofnięcia banicyi i całą sprawę na siebie przejął dodając, że każdy, mający jakiekolwiek pretensye do księcia pruskiego, winien swą sprawę jemu, jako zwierzchnikowi tegoż księcia przedstawić, a sprawiedliwość z pewnością wymierzona mu będzie. Listy te jednak skutku żadnego nie wywarły. Podobnie bezskutecznem było i poselstwo Stanisława Maciejowskiego, kasztelana radomskiego, brata Samuela, wówczas biskupa krakowskiego, a późniejszego kanclerza; i on uzyskał tylko odroczenie banicyi. [2]) Wreszcie na prośby elektorów i książąt Rzeszy, cesarz i król rzymski, za zgodą wszystkich stanów, postanowili oddać załatwienie sprawy pruskiej wysadzonym z obu stron komisarzom. Jakoż komisarzów mianowano; sprawa jednak wlokła się tak, że chociaż niektórzy z nich już pomarli, końca sporu widać nie było. Tym stanem rzeczy książę pruski w wysokim stopniu zaniepokojony, prosił w r. 1545, by król Zygmunt wyprawił w jego sprawie jeszcze raz posłów do cesarza. [3]) Zygmunt przychylił się do prośby lennika i krewnego i wysłał w tymże roku dwóch posłów do Karola: Jana Firleja, syna wojewody ruskiego, i podczaszego Mikołaja Myszkowskiego: pierwszy miał traktować w sprawie przystąpienia króla Zygmunta do sojuszu przeciw Turcyi i w sprawie pruskiej, drugi w sprawie obrzędów pogrzebowych, zmarłej dnia 17. czerwca 1545-go roku królowej Elżbiety, które to obrzędy miały odbyć się w Wilnie. [4]) Wedle instrukcyi kancelaryi królewskiej, przez Hozyusza ułożonej, miał poseł zawrzec przymierze przeciw Turkom pod tym warunkiem, by cesarz Karol osobiście do Węgier z wojskiem przybył; poseł polski miał przedstawić, że Polacy nie mogą się chę-

[1]) Prof. Finkel: Poselstwa Jana Dantyszka, str. 57; Acta Historica, IV., l. 6: Stanisława Łaskiego prace naukowe i dyplomatyczne z przedmową Mik. Malinowskiego, wyd. Adam Zawadzki p. l. XV.

[2]) Prace Łaskiego, p. l. XV.

[3]) A. H. IV. l. 182.

[4]) A. H. IV., l. 196.

tnie garnąć do zawarcia tego przymierza, obawiają się bowiem, by wkrótce nie przyszło im walczyć z tymi, którzy ich do tego przymierza zachęcają; tyle lat przecież domaga się usilnie król polski zniesienia banicyi, przez trybunał Rzeszy na księcia pruskiego wydanej; jednak mimo tylokrotnych poselstw w tej sprawie nic nie mógł uzyskać prócz zawieszenia banicyi. Obawia się zatem król polski, by cesarz ułatwiwszy się z innemi sprawami, nie wystąpił zbrojnie przeciw niemu. Obawa ta i nieufność może być bardzo łatwo usuniętą przez zniesienie proskrypcyi, o co poseł imieniem swego pana usilnie prosi. — Poseł polski, przedstawiwszy sprawę w ten sposób, był zrazu dobrej myśli: w liście donosi, że początek poselstwa idzie mu dobrze, że wprawdzie śmierć królowej Elżbiety utrudniła znacznie jego stanowisko, lecz mimo to nie traci nadziei.[1]) Końcowy jednak rezultat poselstwa był znowu niepomyślny: banicya odłożona została na rok jeszcze jeden, z tem zastrzeżeniem, że następnego roku znowu o zawieszenie starać się należy.[2]) Rzecz prosta, że taki wynik poselstwa nie mógł uspokoić księcia pruskiego; to też zaraz w czerwcu roku następnego wysyła nowe poselstwo do Zygmunta w sprawie tej samej, prosząc go o wysłanie posła na sejm Rzeszy w tym roku, jakoteż o zakazanie margrabiemu brandenburskiemu Albrechtowi Alcybiadesowi in Culmbach stawania przed trybunałem Rzeszy. Zygmunt, zbyt powolny zawsze na prośby siostrzeńca, dał mu posłuch i tym razem i wyprawił malborskiego wojewodę Achazego Czemę, jako posła do cesarza: miał równocześnie starać się powstrzymać cesarza od wojny ze związkiem szmalkaldzkim, jednakowoż nie uzyskawszy niczego, powrócił wojewoda do Polski.[3]) Działo się to w r. 1546. Nie rozstrzygnięty spór mógł łatwo przybrać groźną postać tem bardziej, że Karolowi poszczęściło się w wojnie ze związkiem szmalkaldzkim, od której chciał go Zygmunt powstrzymać. Po zwycięstwie pod Mühlbergiem na wiosnę roku 1547 był Karol panem całej środkowej Europy: gotował się więc do załatwienia na sejmie Rzeszy wszystkich spraw, według swej woli i swego interesu. Jakoż zwołano we wrześniu sejm Rzeszy do Augsburga, na który zebrali się w wielkiej liczbie książęta niemieccy, celem okazania swego posłuszeństwa cesa-

---

[1]) A. H. IV., I. 196.

[2]) Łaskiego prace p. CXV.

[3]) Łaskiego prace, p. CXV.

rzowi i postanowili przystąpić do załatwienia tak spraw schwytanych przewódców związku szmalkaldzkiego, jak religijnej i politycznej pacyfikacyi Niemiec, a wreszcie sprawy pruskiej. [1]) Ponieważ zaś książę Albrecht naraził się cesarzowi przez swe stosunki ze związkiem szmalkaldzkim, dlatego obawiał się egzekucyi banicyi. Wreszcie i Zygmunta musiała niepokoić zbytnia potęga cesarstwa, dla zażegnania więc niebezpieczeństwa umyślono wyprawić nowych posłów na wyżej wspomniany sejm w Augsburgu: [2]) naczelnikiem poselstwa został Stanisław Łaski, wojewoda sieradzki, wprzód wysłano go jeszcze do księcia Albrechta po informacye, a po powrocie dał mu senat obszerną instrukcyę, jakiej się miał w swem poselstwie trzymać. Nie chciał mieć wojewoda żadnego współtowarzysza w urzędzie, (czego później żałował), [3]) wziął ze sobą dwóch tylko sekretarzy: Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Franciszka Russockiego, jakoteż liczny orszak. Wedle instrukcyi miał poseł: 1. prosić o względy dla schwytanych przewódców związku szmalkaldzkiego: elektora saskiego Jana Fryderyka i Filipa heskiego: 2. wstawić się za książętami pomorskimi Barnimem XI. i Filipem I.: matka pierwszego z nich, Anna, była siostrą Zygmunta I.; 3. prosić cesarza o przywrócenie jedności kościelnej w Niemczech, za pomocą zwołania soboru powszechnego; 4. wezwać cesarza do walki z Turcyą; 5. domagać się zniesienia dekretu proskrypcyjnego. To ostatnie żądanie miał poseł motywować w ten sposób: Oburzająca swą niesprawiedliwością banicya, przez tych wyrzeczona, którzy żadnej nad księciem pruskim a siostrzeńcem króla polskiego władzy nie posiadają, może łatwo rzucić nasienie przyszłej wojny; usunąć niebezpieczeństwo to można tylko przez zniesienie niesprawiedliwej banicyi, niesprawiedliwej dlatego, że nie istniał żaden prawowity powód, mogący narazić księcia na wywołanie, ten bowiem nie usłuchał wezwania trybunału tylko dlatego, że mu to uczynić król polski, jego zwierzchnik, zakazał. Zakon nie powinien więc o nie obwiniać księcia Albrechta, powinien natomiast walczyć z niewiernymi, pomny na swoje powołanie, o którem jednak — jak się zdaje — już od długiego czasu nie pamięta: poseł więc domaga się zniesienia

[1]) Eichhorn, l. c. 94.

[2]) Łaskiego prace, p. CXX.; Zakrzewski Wincenty: Rodzina Łaskich, Ateneum, 1882, str. 251—255.

[3]) A. H. IV. l. 177.

[4]) A. H. IV. l. 314, uw. 6.

dekretu, ewentualnie zawieszenia go aż do czasu, w którym komisarze, wybrani przez cesarza i króla polskiego, wydadzą w tej sprawie wyrok.[1]) Z taką instrukcyą pojechał Łaski; z drogi jednak pisał, że instrukcyę swą odpowiednio zmienić musi. Przyzwolono i na to, byle treści jej nie zmieniał. Pan wojewoda sieradzki nie przeprowadził jednak sprawy w ten sposób, jak to miał zlecone: Wypowiedział mowę taką, jak gdyby stał przed sędziami, mimo to, że instrukcya jego była po dwakroć w pełnym senacie rozbierana wobec króla, i sam poseł uznał ją za dobrą.[2]) Wstąpił natomiast na śliską drogę wywodów historycznych, powołując się na to, że Prusy, na mocy prawa wojennego i uroczystych układów, stoją pod zwierzchnictwem Polski; niesprawiedliwą jest zatem banicya, ponieważ wyrzekli ją niekompetentni świadkowie i to w dodatku na niewinnego, ze względu na to, że Albrecht tylko z posłuszeństwa ku panu swemu nie uczynił zadość wezwaniu trybunału Rzeszy. Na to odpowiedział Zakon długim wywodem praw swoich do ziem polskich, kończąc prośbą do stanów o jak najprędszą egzekucyę wyroku. Wywód ten przysłał Łaski do Polski dodając, że wojna o Prusy prawie pewna, jeżeli cesarza nie zaprzątną spory z papieżem lub zatargi z Francyą.[3]) Wszystko to wywołało żywe niezadowolenie króla.[4]) Wreszcie po długiem oczekiwaniu zatwierdził cesarz ze stanami Rzeszy prawność wyroku banicyjnego, a tych, którzyby chcieli bezprawności jego dowodzić, na drogę sądową odesłał, a więc właśnie przed ten sąd Rzeszy, któremu ze strony polskiej kompetencyi w sprawie pruskiej odmawiano; dla rozpoznania zaś sporu między Polską a Rze-

1) Łaskiego prace, p. CXX.

2) A. H. IV. 1. 279.

3) Zakrzewski, Rodzina Łaskich, Ateneum, r. 1881, str. 252.

4) Łaskiego prace, p. CXL., list Zygm. do Łaskiego, z 6. lutego r. 1548 z Piotrkowa: ...Nie posłaliśmy was... dla żadnych tam rozpraw, ale abyście odwrócili wszelki zbrojny najazd na ziemie pruskie i aby wyrok przeciw książęciu Albrechtowi niesprawiedliwie zapadły uchylono. Jeżeli zaś niepodobna było tego wyjednać, abyście przynajmniej postarali się o odkład w jego wykonaniu i aby sprawa przez wysadzonych na to komisarzy tak z Rzeszy jak i z Korony celem rozstrzygnięcia była oddaną. Jeżelibyście tego nawet — uchowaj Boże — nie dokazali, wówczas abyście zanieśli tę protestacyę, jaką macie sobie przepisaną w danej wam przez nas instrukcyi.

szą naznaczył brata swego Ferdynanda komisarzem.[1]) Niezadowolenie w Polsce z odpowiedzi tej było wielkie. Hozyusz w liście do Dantyszka z 23. czerwca r. 1547,[2]) wyraża obawę przed możliwą wojną tem bardziej, że to była chwila, w której Karol stał na szczycie potęgi. Obawy te rozwiał po części list kardynała Ottona Truchsessa do Bony i Zygmunta Augusta, w nader pokojowym duchu pisany. Stąd wnosili polscy statyści, że i Habsburgom zależało na zachowaniu pokoju z Polską. I nic w tem dziwnego. Wszak sprawa węgierska była otwartą raną na ciele państw Habsburgów, której mniej lub więcej szybkie zagojenie zależało w znacznej części od zachowania się króla polskiego. Niepomyślny zaś rezultat powyższej legacyi leżał głównie w tem, że cesarz banicyę wyraźnie potwierdził, a szczególnie w tem, że naznaczył komisarza jedynego, zamiast zostawić obok niego miejsce na drugiego, którego król polski wskaże; była to ujma dla godności króla polskiego, poddanie go poniekąd pod zwierzchność cesarską.[3]) Taki był wynik ostatniego poselstwa za Zygmunta I. w tej sprawie, wynik, jak widzimy, zupełnie niepomyślny, położenie bowiem zmieniło się o tyle, że cesarz, który jako głowa cesarstwa był jedną ze stron w tym sporze, wystąpił teraz w roli sędziego i narzucił Polsce pośrednika. Tak stała sprawa pruska w chwili śmierci Zygmunta Starego, to też zaraz pierwszy poseł Zygmunta Augusta do Habsburgów, wyżej wspomniany Tarnowski, zajmował się nią; lecz do wielkich rezultatów jako internuncyusz doprowadzić nie mógł. Rzecz więc została po dawnemu,[4]) gdy do załatwienia jej powoływano Hozyusza, musiał naprzód naprawić to, co poprzednik popsuł, ażeby uzyskać *„status, quo ante legationem“*.[5]) I w kancelaryi królewskiej zrozumiano ważność tej

---

[1]) Zakrzewski, Rodzina Łaskich, str. 252, a w całości Łaski p. CXLV, Biblioteka Krasińskich, r. 1872, str. 78, i Dogiela Codex Diplomaticus, T. IV., p. 323.

[2]) A. H. IV. 1. 291: Pax certa nulla, nisi quod D. Cardinalis Augustanus sollicite scripsit admodum et ad Regiam et ad Reginalem Mtem et Renum Dnum, ut cum Austriaca Domo pax retineretur mortuo sancto Rege nostro. Unde coniecturam habemus illis quoque pacem esse cordi.

[3]) Wincenty Zakrzewski, Rodzina Łaskich, Ateneum 1881, str. 255.

[4]) Druffel, Briefe und Akten zur Geschichte des sechzehnten Jahrhunderts, I., n. 311, uw. 1.

[5]) Biblioteka Krasińskich, r. 1872, str. 104.

sprawy, dlatego też uzupełniono powyżej przedstawioną instrukcyę w sprawie pruskiej dla Hozyusza osobnym dodatkiem, opisującym z najdrobniejszymi szczegółami sposób, w jaki ma poseł nad tą sprawą traktować. Przedewszystkiem niech się stara, ażeby całą sprawę z księciem pruskim oddano do rozstrzygnięcia królowi polskiemu, jako zwierzchnikowi Prus: gdyby zaś tego nie mógł uzyskać, ma się domagać wysłania komisarzy ze strony króla rzymskiego, po rozpatrzeniu tej sprawy przez króla polskiego; a gdyby zarzucono, że król Zygmunt przez swego posła Łaskiego na to się zgodził, by sprawa oddana była do rozstrzygnięcia królowi rzymskiemu, to wtedy Hozyusz ma powiedzieć, że mu o tem nic nie wiadomo, czy poseł Łaski się na taką odpowiedź zgodził i przyjął ją do wiadomości. W razie zaś, gdyby wszystko nie pomogło i cesarz trzymał się odpowiedzi danej Łaskiemu, to niech się na to zgodzi, ale pod warunkiem, by król rzymski sprawę dokładnie rozważył i niczego bez zgody obu stron nie stanowił, ponieważ zaś dokładne zbadanie całej sprawy będzie wymagało dłuższego czasu, niech prosi o odłożenie całej sprawy tem bardziej, że król polski ma w początkach swych rządów wiele innych spraw do rozstrzygnięcia. W ogólności zaś niech zastrzeże się przeciw wszelkim gwałtom względem księcia pruskiego ze strony Zakonu i niech się usilnie domaga albo zniesienia albo zawieszenia nieprawomocnego wyroku.[1]) Tyle co do sprawy pruskiej.

Ostatnim punktem instrukcyi była sprawa miast Gdańska i Elbląga, które, chociaż od r. 1466 bez przerwy podległe Polsce, otrzymywały ciągłe mandaty i wezwania z kancelaryi cesarskiej i trybunału Rzeszy. By temu raz koniec położyć, wysłał Zygmunt w r. 1544 list do Karola z zażaleniem, że trybunał Rzeszy przywłaszcza sobie jurysdykcyę nad Gdańskiem i Toruniem. Jako odpowiedź otrzymał Zygmunt list Karola z d. 25. października z Brukseli; wedle tego listu jest Gdańsk miastem cesarskiem i nie to, czyją zwierzchność uznają Gdańszczanie, jest tu miarodajnem, lecz to, czyją zwierzchność uznawać powinni. Sami zaś wskazali, kogo za przyrodzonego zwierzchnika uznają; kiedy ich bowiem powołano na sejm Rzeszy, uniewinniając się oświadczyli, że od pewnego czasu przeszli pod władzę króla polskiego, a zatem przedtem byli pod inną władzą i to cesarską. Ta odpowiedź tak ostra

---

[1]) A. H. IV. 1. 315.

i niesprawiedliwa ciężko dotknęła sędziwego króla.[1]) Nie dość jednak na tem. Wkrótce otrzymali zapozwanie przed trybunał Rzeszy za to, że nie przysłali posiłków na wojnę z Turkami wedle dekretu stanów Rzeszy. Z tem wezwaniem odnieśli się Gdańszczanie do króla, lecz król uspokoił ich: zbyt wielką jest jego przyjaźń z cesarstwem, by miasta polskie miały się czego od cesarza obawiać; zresztą on w tej sprawie porozumie się ze swoimi doradcami z ziem pruskich.[2]) Wynikiem tego porozumienia było wysłanie posła do Karola; był nim wyżej wspomniany Jan Firlej z Dąbrowicy, który w ten sposób miał sprawę tych miast wraz z sprawą księcia pruskiego, o czem już wspominałem, załatwić. Poseł polski miał przedstawić, jak ciężko czuje się Zygmunt wspomnianym listem cesarza dotknięty; zresztą poseł sądzi, że taka odpowiedź bez wiedzy cesarza przez nieświadomych Rzeszy doradców, musiała być wysłaną. Monarcha polski nie uznaje za stosowne wywodzić przed kimś praw swoich do tych miast; miasta te nie uznawały nigdy zwierzchności cesarza, dlatego król polski prosi o polecenie sędziom trybunału Rzeszy, aby nie przywłaszczali sobie jurysdykcyi nad tymi, do których nie mają, ani też nigdy mieć nie będą najmniejszego prawa.[3]) Poselstwo to nie musiało dać pomyślnych rezultatów,[4]) bo w dwa lata później nowy poseł Zygmunta do Karola na to samo się żali.[5]) Posłem tym był wyżej wspomniany Łaski, nie dano mu jednak pomyślnej odpowiedzi.[6]) Król polski, nie mogąc się zgodzić na jurysdykcyę cesarstwa nad dwoma miastami polskiemi, i tę sprawę Hozyuszowi polecił.

Jeżeli uprzytomnimy sobie jeszcze raz instrukcye Hozyusza, to musimy dojść do wniosku, że:

1. zawarcie przymierza wobec naprężonych stosunków między Polską a Habsburgami, które powstały głównie przez złe pożycie Zygmunta Augusta z Elżbietą i śmierć tejże — że nie wspomnę już o tak przykrej sprawie księcia Albrechta — następnie wobec

---

[1]) A. H. IV. 1. 180.

[2]) A. H. IV. 1. 183.

[3]) A. H. IV. 1. 187.

[4]) W Tomicyanach nie ma o niem żadnej wzmianki (A. H. IV. 1. 187, uw. 1.); a tylko Przezdziecki, Jagiellonki Polskie, I. 168.

[5]) Łaskiego prace, p. CXLV.

[6]) l. c., p. CXLV.

zamieszek w Polsce, o których Ferdynand przez posła swego Langa doskonale był poinformowany, a które wpływ i znaczenie, jakiem się Polska za Zygmunta Starego pochlubić mogła, na razie znacznie obniżyć musiały, że więc zawarcie przymierza na korzystnych dla Polski warunkach wcale łatwem nie było:

2. pomijając drobniejszą sprawę handlową, tyczącą się — jak wspomniałem — zakazu utrzymywania stosunków handlowych ze Ślązkiem, przedstawiały sprawy pruska i gdańska, szczególnie pierwsza, trudności prawie niepokonalne, jeżeli zważymy niepowodzenie, jakiego doznał ostatni poseł polski w tej sprawie wysłany: w sprawie pruskiej wyraźne potwierdzenie banicyi i wyznaczenie jednego komisarza, bez zostawienia obok niego miejsca na drugiego, w sprawie zaś miast Gdańska i Elbląga kategoryczne oświadczenie, że miasta te należą do związku Rzeszy. Nic więc dziwnego, że poselstwo to przyjemnem dla Hozyusza być nie mogło. Miał on przecież występować w obronie sprawy, która z punktu widzenia prawnego tak wiele wątpliwości nasuwała, miał występować przeciw cesarzowi, obrońcy Kościoła katolickiego, on, który wszystkich zachęcał do walki z heretykami; miał występować pośrednio także przeciw papieżowi jako najwyższemu zwierzchnikowi Zakonu.[1] Do tego dodajmy naturalną zupełnie niechęć w nowo mianowanym biskupie, że opuszczał na dłuższy czas swą dyecezyę, a zrozumiemy łatwo, że Hozyusz przyjął ten obowiązek tylko na wyraźne życzenie króla i całego senatu i ze swej strony polecał na posła przyjaciela swego Wojciecha Kijewskiego, kanonika krakowskiego. Nic to jednak nie pomogło, król nie chciał się na to zgodzić. Był także jeszcze jeden dygnitarz, któryby chętnie się tego obowiązku podjął i usilnie się starał, by mu tę misyę powierzono; był to wojewoda malborski, Achazy Czema, ów niefortunny poseł z r. 1546. Gdy mu się to nie udało, na każdym kroku bruździł przeciw Hozyuszowi na dworze królewskim, gdzie miał silny wpływ.[2]

Hozyusz tymczasem rozpoczął przygotowania do poselstwa uwiadomieniem księcia Albrechta o swej podróży, załączając prośbę o łaskawe udzielenie informacyi i życzeń samego księcia, o którego sprawę miał się starać.[3] Następnie napisał list do je-

[1]) Eichhorn, I., 98.
[2]) A. H. IV. 1. 319.
[3]) A. H. IV. 1. 311.

dnego z najwybitniejszych ówczesnych mężów stanu, jakim był bezsprzecznie Jan Tarnowski, „pan krakowski", podczas burzy o małżeństwo królewskie wiernie stojący przy swoim władcy. W odpowiedzi na list ten odebrał Hozyusz obszerną odpowiedź, pełną rad i cennych wskazówek, których się w czasie swego poselstwa *stricte* trzymał, sobie zupełnie nie ufając.[1]) Nie na samych jednak radach Tarnowskiego poprzestał Hozyusz. Mimo to, że już rozumem, zdolnościami i talentem dyplomatycznym się odznaczył i że jako kanonik warmiński miał sposobność zaznajomić się ze stosunkami pruskimi, jako zaś sekretarz kancelaryi królewskiej był *au courant* całej bieżącej polityki, mimo to wszystko przeglądnął pilnie wszystkie poprzednie traktaty, z państwami Habsburgów pozawierane.[2]) Do pomocy przybrał sobie Hozyusz trzech sekretarzy: jednym z nich był Andrzej Frycz Modrzewski, sekretarz królewski, który także Łaskiemu towarzyszył, a który nabytem w pierwszej podróży doświadczeniem niejednokrotnie bardzo pożytecznym się dla Hozyusza okazał;[3]) drugim był Podoski, również sekretarz królewski;[4]) o trzecim Hozyusz wspomina, nie wymieniając nazwiska; kto nim był niewiadomo, towarzyszyć mu również miał bogaty orszak, wszyscy konno, z bogatymi darami dla dostojnych braci i ich dygnitarzy.

Z początkiem kwietnia roku 1549 przybył Hozyusz do Pragi.[5])

W krótkim czasie po przybyciu do Pragi przedstawił Hozyusz na posłuchaniu u króla Ferdynanda swoją sprawę w obszer-

---

[1]) A. H. IV. I. 312.

[2]) A. H. IV. I. 316.

[3]) A. H. IV. I. 358 uw. 3.

[4]) A. H. IV. I. 354 uw. 3.

[5]) Wbrew Eichhornowi i Lengnichowi (Geschichte der preussischen Lande) twierdzę, że Hozyusz odrazu do Pragi pojechał, a nie do Wiednia; twierdzenie to opieram na tem, że: 1. Hozyusz w swojem sprawozdaniu z poselstwa (A. H. IV. I. 376), którego ani Eichhorn, ani Lengnich nie znali, nic o tem nie mówi. 2. Eichhorn opiera się na Reszki, „Vita Hosii", ks. I., rozdziale XIV., ta zaś część pracy Reszki pochodzi z czasów, gdy Reszka nie był jeszcze w stosunkach z Hozyuszem, a zatem zasługuje na znacznie mniejszą wiarę; zresztą mówi Reszka tak: (Hosius) profectus in Germaniam Ferdinandum Regem Viennae... convenit legationemque exposuit. Widzimy więc, że Reszka nie wspomina nic o Pradze, że zaś skądinąd na pewne wiemy, że Hozyusz był w Pradze, przeto twierdzenie Reszki na żadną wiarę nie zasługuje.

nym wywodzie, trzymając się rad Tarnowskiego: mimo że Zygmunt August ma na sobie w początkach rządów swoich tak wielkie sprawy, ustawicznie obmyśla, w jakiby sposób starodawne przymierze, łączące dom jagielloński z austryackim zachować, utrwalić i pomnożyć. Do tego zachęcają go i przykłady sławnych jego przodków; pamięta przecież dobrze o przymierzu króla Kazimierza, dziadka swego, z Albrechtem, arcyksięciem Austryi (1462 r.), jakoteż z cesarzem Fryderykiem (1474 r.); pamięta o przymierzu ojca swego z cesarzem Maksymilianem (1515 r.) Tem bardziej więc pragnie wzajemną przyjaźń odnowić, przyjaźń zaś ta ma być taka, iżby wiązała nie tylko osoby monarchów, lecz także łączyła ich prowincye i poddanych, by ludy różne mową, obyczajami i zwyczajami jednoczyły się we wzajemnej życzliwości i przyjaźni i nie znały innej walki, jak tylko o to, który naród zdobędzie się na więcej życzliwości, przyjaźni i miłości dla drugiego.

Do takiego współzawodnictwa wzywa król polski Ferdynanda, taką wojnę mu wydaje, w której nie mieczem się walczy, lecz bronią miłości i przyjaźni, ta zaś jest silniejsza od żelaza, a nawet od śmierci. Najlepszy dowód tego dał właśnie król Ferdynand, urządzając wspaniałe nabożeństwo żałobne za zmarłego króla Zygmunta, następnie posyłając swego posła na pogrzeb królewski. Dał więc Ferdynand tym czynem najlepszy dowód, jakim był przyjacielem zmarłego króla. Cóż zaś o tym królu ma poseł powiedzieć, o nim, który przeniósł się do lepszej ojczyzny, gdzie nie ma innych uczuć, jak tylko uczucie miłości; to więc uczucie otrzymał młody król w spuściźnie po ojcu i raczej we wszystkiem gotów jest Ferdynandowi ustąpić pierwszeństwa, byle nie pierwszeństwa w miłości braterskiej. Niech raczy zauważyć król rzymski, jakie korzyści wynikną z takiego połączenia dla państw i poddanych obojga monarchów. *Nam si Deus pro nobis, quis contra nos* — woła poseł. Król rzymski widzi więc, jak chwalebną i godziwą jest ta walka, do której go król polski wzywa: nie jest to bowiem *„armorum, sed amorum certamen"*. Postąpi zresztą za przykładem przodków swoich, którzy wielokrotnie zawierali traktaty z królami polskimi. Poseł mógłby wiele podobnych traktatów wymienić, ma jednak polecone przytoczyć tylko dwa, a to traktat króla Kazimierza z arcyksięciem Albrechtem, a następnie z cesarzem Frydrykiem. Poseł więc prosi Ferdynanda o zatwierdzenie tych przymierzy, zgadzając się na zmiany, jakichby okoliczności wymagały. Gdyby więc Ferdynand domagał się jakich

zmian w dotychczasowych paktach, wówczas poseł jest gotów, na mocy danego sobie upoważnienia, znieść się z wydelegowanymi w tym celu przez Ferdynanda komisarzami; jeźli zaś obustronnie zaszły jakie postępki, sprzeciwiające się wyżej wspomnianym traktatom, to król polski gotów jest ze swej strony uczynić wszystko, co w jego mocy, by podobne fakta się nie powtórzyły, prosi jednakowoż, by i przeciwna strona to samo uczyniła. Przymierze zaś, które król polski pragnie zawrzeć, nie ma być ogólnem, lecz ma być zawarte z wszystkiemi państwami i krajami, podległymi berłu Ferdynanda, przedewszystkiem zaś z Królestwem Czeskiem; nasamprzód prosi jednak król polski o ogólne zatwierdzenie przymierza. Gdy się to stanie, można będzie przystąpić do omówienia stosunku poszczególnych królestw i krajów do Korony Polskiej.

W dalszym ciągu mowy rozbiera poseł te sprawy, które były dotąd jakby „kamieniami obrazy“ i które albo jedna albo druga strona uważała za jaskrawo sprzeciwiające się duchowi traktatów. Spraw takich przedstawia poseł trzy: śląską, pruską i gdańską. Jak wyżej wspomniałem odnosi się pierwsza do zakazu utrzymywania stosunków handlowych ze Śląskiem, druga do banicyi, ciężącej nad księciem Albrechtem, trzecia do bezprawnej jurysdykcyi, jaką sobie rościł trybunał Rzeszy nad miastami Gdańskiem i Elblągiem. Według króla rzymskiego pierwsza uwłaczała warunkom traktatu, wedle polskiego — dwie drugie.

Przedstawiając pierwszą sprawę, oświadczył Hozyusz, że król polski miał ważne powody, skłaniające go do wydania zakazu handlu ze Śląskiem, że jednak gotów jest zakaz ten znieść, jeźli tylko stanie się zadość postanowieniom konwencyi wschowskiej z r. 1540, na której przysądzono Polakom 20 tysięcy florenów odszkodowania. Hozyusz wzywa więc Ferdynanda, by sumę tę wypłacić rozkazał i w ten sposób do umorzenia tej sprawy się przyczynił. Co do sprawy pruskiej sądzi poseł, że tu stanowczo postąpiono wbrew traktatom, lecz nie ze strony polskiej; wiadomem jest bowiem powszechnie, że książę pruski nie podlega trybunałowi Rzeszy; mimo to jednak przez tenże trybunał na banicyę skazany został. Gdy zaś na ostatnim sejmie Rzeszy cesarz Karol wyznaczył Ferdynanda jako superarbitra do załatwienia sprawy pruskiej, przeto Hozyusz prosi go imieniem swego króla o usunięcie banicyi tem bardziej, że ten wyrok banicyjny jest wyraźnem złamaniem traktatu z cesarzem Maksymilianem, który *„sub fide boni, legalis et ingenui Principis“* zaręczył, że nie będzie ani mistrza, ani Zakonu powstrzymywał od wypełnienia obowiąz-

ków lenniczych względem Polski. Nie uczynił zaś tego tylko w swojem imieniu, lecz także swoich spadkobierców. Gdy więc tak się rzeczy mają, to jakiem prawem może trybunał Rzeszy wydawać wyroki wbrew postanowieniu cesarskiemu? Kto ma jaką sprawę do księcia pruskiego, niech przedłoży ją królowi polskiemu, prawowitemu jego panu.

W końcu występuje poseł przeciw bezprawnym pretensyom trybunału Rzeszy względem miast Gdańska i Elbląga, pretensyom nieuzasadnionym, bo wyraźnemu brzmieniu traktatu z Maksymilianem przeciwnym. I te więc należy usunąć, by zupełna ufność mogła zapanować i by misya posła tem prędzej ku zamierzonemu kresowi dojść mogła, a przymierze zawarte w takich warunkach będzie ku pożytkowi wiary katolickiej, która wtedy najpotężniej wzrasta, gdy dzieci jednej wiary jak bracia się kochają, wypełniając w ten sposób przykazanie Jezusa Chrystusa, będzie następnie ku chlubie samego Ferdynanda, gdyż potomność dowie się o jego miłości pokoju, będzie wreszcie ku postrachowi nieprzyjaciół Krzyża, którzy niczego się tak nie obawiają, jak jedności i zgody wyznawców Chrystusa.[1])

Sumując teraz punkta wytyczne tej mowy widzimy, że Hozyusz prosił naprzód o ogólne zatwierdzenie przymierzy, zawartych niegdyś przez króla Kazimierza z arcyksięciem Albrechtem i cesarzem Frydrykiem, następnie o osobne zatwierdzenie przymierza z królestwami Węgierskiem i Czeskiem, w którem wtedy Ferdynand był obecny, a na koniec przedstawił sporne kwestye: śląską, pruską i gdańską.

(Ciąg dalszy nastąpi)

[1]) A. H. IV. 1. 313.

Pamiętnik z podróży na zjazd historyczny

Imienia Jana Długosza

odbytej w maju 1880 roku.

(Ciąg dalszy).

II.

Doroczne posiedzenie Akademii umiejętności w wigilię kongresu historycznego 18. maja, z niezwykłą uroczystością w wielkiej południowej sali Sukiennic odbyte, oraz notaty z mianego na tem posiedzeniu odczytu generalnego Sekretarza Akademii D-ra Szujskiego, o Długoszu jako historyografie.

Sala w Sukiennicach, w której dziś wyjątkowo odbyło się posiedzenie Akademii, pięknie była przybrana.

Nad estradą, mającą kształty olbrzymiej trybuny, umieszczono ogromne popiersie Długosza i otoczono chorągwiami średniowiecznych cechów krakowskich, tudzież gałęziami sążnistych laurów.

Na estradzie zasiedli: Alfred Potocki z orderem złotego runa, prezes Akademii um. Józef Majer, sekretarz generalny Szujski i prof. Stanisław Tarnowski. Po dwóch stronach estrady zajęli miejsca członkowie Akademii i uczestnicy zjazdu, naprzeciw zaś dr. Zyblikiewicz, prezydent miasta, delegat Namiestnictwa Kazimierz Badeni, generał feldmarszałek, baron Bienerth i inni.

Wśród dam dostrzegłem nie tylko wszystkie miejscowe znakomitości, ale i przybyłe ze Lwowa: namiestnikowę Potocką i księżnę Adamowę Sapieżynę.

Posiedzenie zagaił o samej dwunastej wiceprotektor Akademii, namiestnik Alfred Potocki, następującą przemową, którą tu z dzisiejszego dziennika dosłownie przytaczam:

„W imieniu Najdostojniejszego Protektora, Jego Cesarskiej Wysokości Arcyksięcia Karola Ludwika mam zaszczyt powitać Was, Panowie!

Dzisiejsze zgromadzenie Wasze spływa się z czterechsetną rocznicą śmierci wiekopomnego męża, który urokiem cnót i blaskiem nauki był ozdobą swych czasów, a wielkiem dziełem swego żywota na zawsze zaskarbił sobie wdzięczność i cześć narodu, któremu w drogiej a niespożytej spuściźnie zostawił opowieść dziejów ojczystych.

Z serdecznem zadowoleniem spełniam miły obowiązek, włożony na mnie przez Jego Cesarską Wysokość Arcyksięcia Karola Ludwika, który raczył upoważnić mnie, abym zapewnił Was, Panowie, że Najdostojniejszy Protektor, oddając cześć pamięci najznakomitszego polskiego historyka XV. stulecia, bierze żywy i szczery udział w tym pięknym akcie, którym Akademia postanowiła uczcić nieśmiertelne jego zasługi.

Oddając cześć wielkiej pracy i wielkiej nauce, która imię Długosza otoczyła wiekopomną sławą, nie można było zaiste obrać sposobu godniejszego nad ową inicyatywę, która gromadząc pod egidą Akademii mężów wiedzy i badaczy do wspólnego roztrząsania poważnych i doniosłych kwestyi naukowych, tak świetnem jest spełnieniem owej wzruszającej prośby wielkiego dziejopisarza, w której to „zaklina mężów duchownych i świeckich, doktorów, „profesorów, magistrów, kolegiatów, studentów, pisarzów fakulte- „tów matki naszej, Uniwersytetu krakowskiego," aby dzieło, przezeń rozpoczęte, dalej prowadzili.

Taka cześć dla wielkich wzorów, mądre piastowanie najlepszych tradycyi naukowych, czerpanie z nich podniety do ciągłego postępu i nieustannych trudów na wielkim obszarze wiedzy, przystoi tej znakomitej instytucyi naszej, która w krótkim stosunkowo czasie umiała spełnić wspaniałomyślne intencye Swego Założyciela, miłościwie panującego nam Monarchy, a po której, jako po ognisku światła w społeczeństwie, z wszelką otuchą oczekiwać możemy wysokich korzyści dla prawdziwej, idealnie pojętej nauki, o której śmiało powtórzyć można w ogólności to, co w ściślejszem znaczeniu wypowiedział czczony dziś przez Was mistrz Długosz, że „młode serca do sławy zapala, rozkoszą jest starców,

„ozdobą w pomyślności, w nieszczęściu zdrową radą i najpożyte-
„czniejszą bywa dla ojczyzny.“

Na mowę Alfreda Potockiego odpowiedział prezes Akademii, Majer, i odczytał obszerne sprawozdanie, którego, wraz ze swoim przepięknym odczytem, użyczył mi dzisiaj do hotelu prof. Szujski, bym notaty moje łatwiej mógł uzupełnić, co niebawem uskutecznię.

Prezes Majer, odczytawszy swe doroczne sprawozdanie, przedstawił zgromadzeniu przybyłego z Wrocławia d-ra Roeppela i powitał go imieniem Akademii. Prof. Roeppel w języku niemieckim głos zabrał z estrady i w wymownych słowach podniósł ważność uroczystości, która go miedzy Polaków przywiodła. Oto mowa jego w całej rozciagłości, jak jej był łaskaw udzielić mi do użytku gazety niemieckiej („Rigasche Zeitung“), o której wiedział, że mię o korespondencyę z Krakowa usilnie prosiła.

„Hochgeehrter Herr Praesident!

„Gestatten Sie mir an dem Tage, an welchem ich zum
„ersten Mal in dieser illustren Versammlung erscheine und
„meinen Sitz unter den Mitgliedern dieser verehrten Akademie
„eingenommen habe (powszechne oklaski), zunächst und vor
„Allem meinen wärmsten Dank auszudrücken für die hohe
„Ehre, die Sie mir, indem Sie mich wählten, erwiesen haben.
„Die Wissenschaft trennt nicht die Nationen, sondern verbin-
„det dieselben (ponowione oklaski): denn wie weit auch ihre
„Ideen und Interessen auf anderen Lebensgebieten naturgemass
„auseinandergehen, ja sogar einander zuwiederlaufen, — auf
„dem Grund und Boden der Wissenschaft haben sie Alle nur
„ein und dasselbe Interesse, ein und dasselbe Ziel vor Augen —
„die Erforschung und Proclamirung der Wahrheit. (Przeciągłe
oklaski wszystkich obecnych). Von dieser Ueberzeugung durch-
„drungen und in diesem Sinne haben mich die Vereine für
„Geschichte und Alterthümer Schlesiens beauftragt, Ihnen ihren
„aufrichtigen Glückwunsch zu diesem festlichen Tage darzu-
„bringen (grzmiące oklaski) und haben demselben einen Aus-
„druck in einer Adresse gegeben, welche, wenn Sie, hochge-
„ehrter Herr Präsident, gestatten, ich verlesen will, und wel-
„che also lautet.

(Mowca odczytuje adres w tych oto słowach):

„Die unserem Breslau durch so zahlreiche historische „Erinnerungen verknüpfte Stadt Krakau ehrt in diesen Tagen „durch eine würdige Feier das Andenken ihres grössten Chro„nisten, Johannes Długosz. In ihm schätzt man auch in Schle„sien einen Historiker von hervorragendster Bedeutung und „eine hochwichtige Quelle der Geschichte. Um so weniger ha„ben die für die Erforschung unserer Vergangenheit interessirten „Vereine die Gelegenheit vorbeilassen mögen, durch Darbrin„gung aufrichtigster Glückwünsche zu dem schönen Feste Zeu„gniss abzulegen für das Gefühl einer wissenschaftlichen Ge„meinsamkeit, welches, durch empfangene Freundlichkeiten „immer wieder genährt, die Forscher der beiden Nachbarländer „in erfreulicher Weise verbindet. Die wissenschaftlichen Be„strebungen, welche in der Feier ihren Ausdruck finden sol„len, begegnen auf unserer Seite den wärmsten Sympathieen „und wir hegen die aufrichtigsten Wünsche für ihre gedeihliche „Entwickelung. Den freundnachbarlichen Geist aber, in dem die „Einladung zu diesem Feste ergangen ist, in vollstem Masse „würdigend, erwidern wir von ganzem Herzen in der sicheren „Hoffnung, dass eine fortgesetzte gegenseitige Förderung der „der heimischen Geschichte geweihten Bemühungen in beiden „Ländern der Wissenschaft und der Kunde unserer Vergangen„heit zu Heil und Segen gereichen werde."

(Po odczytaniu mówi):

„Indem ich Ihnen, hochgeehrter Herr Präses, diese Adresse „überreiche, bleibt mir nur noch die Versicherung übrig, dass „ich die in derselben ausgesprochenen Wünsche und Hoffnun„gen persönlich und in vollstem Masse theile." (Kilkuminutowe oklaski).

Objaw ten wzajemności instytucyi naukowych i serdecznego udziału ze strony Towarzystwa wrocławskiego jest poniekąd odpowiedzią i zadośćuczynieniem za pociski dzienników ultra-niemieckich, wywołane obchodem Długosza.

Nastąpił odczyt generalnego sekretarza Akademii, dra Józefa Szujskiego: „Długosz jako historyograf".

Historyk nasz zasłużony przedstawił w nim swego wielkiego poprzednika w świetle porównawczem, przywiódł świadectwa obcych autorów o Długoszu, jak Zeissberga i Caro, porównał z hi-

storykami wieków średnich u innych narodów, a po świetnym rozbiorze ducha i mądrości Długosza, zakończył prawdziwie wymownym zwrotem o zadaniu historyi wobec narodu, o czem niżej obszerniej zamierzam wspomnieć.

Teraz prof. Stanisław Tarnowski odczytał wiersz A. E. Odyńca, nadesłany Akademii na obchód uroczystości Długosza.

Przytaczam go dosłownie:

Święta i straszna dziejowa praca,
Gdy w głąb przeszłości, jako w loch grobowy
Schodzi z pochodnią prawdy i obraca
Nią, z czcią i z grozą na ten proch wiekowy
Rzeczy i ludzi, co jak gruz i trumny,
Jedne na drugich piętrzą się w kolumny,
Znaczą tu drogę, kres nie cel człowieka.

Gdy, jak czarodziej laską swej potęgi
Strąca z łoskotem owych trumien wieka,
By z lic umarłych, jako z żywej księgi
Wyczytał, odgadł te myśli, te siły,
Co w nich, jak w morze falą w serca biły,
Jak piorun grzmiały z ich ust i gorzały
Z óczy ich nad światem jak świata sygnały!

I gdzież są ślady ich dzieł, prac i chwały?
Pamięć ich zasług, cnót i geniuszu?
Blask ich potęgi, zwycięstw majestatu?
Gdzie są?... w Homerze tylko, w Liwiuszu,
W pieśniach lub w dziejach? I gdyby ich światu
Nie rzekł głos wieszcza lub dziejopisarza,
Któżby znał imię bohatera Greka?
Kto moc, i wielkość rzymskiego mocarza?
Dziejopis przeszłość po raz drugi stwarza
I, jak duch w Bogu, tak sława człowieka
W nim, przezeń tylko wiekuje na ziemi,
Bóg i on tylko sędzia nad wszystkiemi.

I takim sędzią, sprawiedliwym, czystym
Był Długosz — prawy dziejopisarz Polski,
On w niej proroka wzrokiem promienistym
Odgadł duch Boży i cel apostolski!
I z cnót naukę, a z błędów przestrogę
Czerpiąc, z przeszłości radami świętemi,
Ukazał ziomkom Bożej woli drogę
I cel im przez nią wytknięty na ziemi.
A jak niepłodną była ta przestroga

Wieki dowiodły i wieki dowiodą,
Jak krzyż pokuty z wiarą w pomoc Boga
Łaski się Jego uwieńcza nagrodą.
I wróci znowu dzień szczęścia i chwały,
Przedświt nowego ludzkości zarania,
Gdy przy Baranku obok Orzeł biały
Stanie się nowem godłem Zmartwychwstania.

W końcu posiedzenia, które aż do godziny 3-ciej się przeciągnęło, ogłoszono nowe nagrody konkursowe, a między innemi z daru profesora Heitzmana konkurs z nagrodą 300 złr. za pracę o Długoszu i jego dziełach.

Kandydatami na członków Akademii ogłoszono prof. Malinowskiego i dra Wisłockiego, kustosza Biblioteki Jagiellońskiej; na korespondentów prof. Maryana Sokołowskiego i prof. lwowskiego Uniwersytetu Tadeusza Pilata.

Resztę dnia tego zajęły wizyty a wieczór zgromadził nas wszystkich u prezesa Akademii, dra Józefa Majera.

Gdym przed północą wrócił do domu i wysłał pierwszą pobieżną korespondencyę do gazety ryskiej, przystąpiłem skwapliwie do notatek o wrażeniu, jakie nie tylko na mnie, ale na całem zgromadzeniu wywarła, odczytana dzisiaj przez prof. Szujskiego rozprawa o Długoszu. Praca ta jednego z głównych obecnie przewodników na drogach badania dziejów, była jakby uwieńczeniem wielkiego protoplasty polskich historyków.

Wsparłszy się na świadectwie obcych [1]) w ocenieniu stanowiska Długosza jako historyografa, szukał dlań Szujski skali porównawczej nie tylko z jego poprzednikami i następcami w Pol-

[1]) W rozprawie dra Caro o Długoszu znajduje się sąd jeżeli nieprzychylny, to jednak pełen czci dla Długosza, jako dla jednej z największych znakomitości na polu historyografii a zarazem dla jednego z najczystszych ludzi w historyi naszej. A znany powszechnie prof. Zeissberg, autor dzieła: „Die Geschichtsschreibung Polens im Mittelalter“, uważa Jana Długosza za jedno z najznakomitszych zjawisk na polu historyografii. Oto własne słowa Zeissberga: „Wir reihen den Dlugossus ohne Frage den bedeutendsten Geschichtsschreibern aller Zeiten an.“ I dlatego pocisków „Neue freie Presse“ na nieśmiertelnego Długosza rodacy nasi nie powinni kłaść na karb antagonizmów plemiennych, ale zgodzić się na to, że to wystąpienie gazeciarskie jest tylko świadectwem niecnej nienawiści, która ustępując w sferze naukowej, skryła się obecnie już tylko do niskiej zawiści dziennikarstwa pseudo-liberalnego a noszącego wszędzie piętno ignorancyi.

sce, nie tylko z współczesnymi mu kronikarzami innych narodów, ale z najwyższymi historyografami wieków średnich, jak z Arnoldem z Tyru i Grzegorzem turaneńskim. Z wszystkich porównań wychodzi nasz Długosz zwycięsko; odznacza go w wysokim stopniu umysł krytyczny i mądrość, z wielkiej płynąca cnoty. Prof. Szujski tłómaczył powody dlaczego Długosz, doznając za życia niechęci, po śmierci długo i bardzo długo nie był ceniony.

Przyczyna tego leżała w tem, że nie lubił naród nasz tego, co twardo stawia mu prawdy, że ukrywano jego dzieło nie dlatego, jak ktoś mniemał, aby nie odsłonić przed obcymi arkanów polityki polskiej i opisu ziem naszych, lecz, że zasad Długosza nie całkowicie się trzymano, że ich nie chciano odsłonić przed ogółem narodu.

Nie był bez wpływu na Długosza rozwinięty już we Włoszech humanizm, a Szujski wskazał słuchaczom, co Długosz z humanizmu, z znajomości klasycznej literatury, z wzorów zwłaszcza Liwiusza przyswoił sobie. Choć brał tu poniekąd i metodę i formę, duchem należał on jeszcze do średnich wieków, a słusznie uczony prof. Zeissberg nazywa go słupem granicznym między epoką średniowieczną a nowożytną w Polsce.

Mówiąc tylko o pisarzu, pominął Szujski życie czynu, zawód dyplomaty i nauczyciela, boby to jeszcze bardziej tę i tak długą prelekcyę było przedłużyło, ale nie pominął ścisłego związku, jaki zachodził między Długoszem a Z. Oleśnickim. [1])

Długosz nie był ani biografem ani chwalcą Zbigniewa Oleśnickiego, ale był poniekąd jakby jego kontynuatorem: w historyi bowiem swojej wyznawał to, czego Oleśnicki bronił, co kochał i przeprowadzał.

Misterna i w szczegółach wycieniowana charakterystyka Długosza z leżącego przede mną odczytu prof. Szujskiego nie da się żadną miarą streścić w niniejszem wspomnieniu.

Były w tym znakomicie wygłoszonym odczycie karty pełne siły i stanowczości, były, że tak powiem, zebrane klejnoty z dzieł wielkiego historyka. Mówiono mi tu w Krakowie, iż ta praca Szujskiego wkrótce okaże się w druku, a będzie ona pierwszą

[1]) Zbigniew Oleśnicki ochronił Polskę od sekciarstwa i szybkiego rozkładu. Długosz powstrzymał zapędy omnipotencyi państwowej, kuszącej się w swych mętnych falach zanurzyć wolność Kościoła i wolność polskiego sumienia!

w literaturze polskiej, poświęcona Długoszowi. A że danem mi jest w tej chwili czytać tu spokojnie wśród nocnej ciszy oryginalny wieloarkuszowy odczyt niezrównanego w swej dobroci i uprzejmości Szujskiego, żałuję niepomiernie, że czas krótki i fizyczne zmęczenie nie dozwalają mi dłuższego z niego zrobić wyciągu. Tu chyba jeszcze przytoczę ustęp końcowy, z porywającym przez autora odczytany zapałem, a który dzisiaj wstrząsł do głębi słuchaczami:

„Nazwano go ojcem historyi naszej — mówił swym wdzięcznym głosem Szujski — a niedawno jeszcze powtórzył tę nazwę szanowny profesor Roepell w liście do nas, pochwalającym w serdecznych słowach zamiar jego uczczenia.

Ojciec zaś historyi naszej, to ojciec jednej z tych stron umysłowego życia, której ważność mierzy się naszem położeniem w historyi.

Narodom, na szczycie potęgi stojącym, może chwilowo, póki trwa wątek politycznej dzielności, wyniesiony z twardego z dziejami własnemi obrachunku, nie szkodzić historyografia, lubująca się w podziwie dokonanych dzieł i sądząca wszystko inne z wyżyny tej chwały; narodom, zachwianym politycznie i społecznie, byłaby już bezpośrednio niebezpieczną. Ratować je może, oprzytomniać i hamować na ślizgich drogach bezwzględnych teoryi t y l k o upominający głos doświadczenia wieków. Narodom, które politycznie nie żyją, a nie wyrzekły się Boga, co dźwiga upadłe, i własnej szlachetnej dumy, która Bogu wytężeniem wszystkich sił do dzieła dopomódz gotowa, historya, używana tylko jako pobudka narodowych uczuć, jako plaster obwijający zakrzepłe rany, j a k o ł a c h m a n c h w a ł y d a w n e j, pozostałej po żywych politycznie, byłaby zabójczą. Lekarka ona upadłego na ziemię rycerza, nie piastunka zepsutego dziecka; wieszczka, wołająca do ekspiacyi win dawnych, nie rzemieślniczka, malująca domowe i narodowe chwały; myślicielka namiętna i nieustająca, nie tylko nad tem, co się stało śmiercią, ale i nad tem, co było życiem.

Surową była zawsze i jako taka odtrącaną. Gniewano się na to co podawała jako przyczyny upadku, i nie chciano tego, co podawała jako kordyał życia.

Wiek XVI. poterał Długoszem, chociaż na większego historyka się nie zdobył, chociaż, jak on, o pomniki dziejów, z pyłu przeszłości wydobyte, nie starał się, owszem je zaniedbał.

Wiek nasz, wśród ciężkich losów, jakie przechodzimy, ma niezaprzeczenie jedną stronę, która przypomina wiek Długosza.

Tam on sam jeden pracował — tu cały zastęp ludzi możnych i ubogich, mecenasów i uczonych, pracuje z godną uznania gorliwością i ofiarnością nad zgromadzeniem historycznego materyału jako najbestronniejszego sędziego naszych rozumowań i teoryi o dziejach.

I rzecz ciekawa, gdy wśród tej pracy powstanie myśl jedna lub druga, oparta na nowych zdobyczach, miłością ojczyzny natchniona — bo nie ma u nas historyków dla zysku, popularności lub łaski mocarzy — odzywa się tak często, przypuszczamy chętnie z zacnych piersi głos, który na tę myśl się zrywa, nazywa ją łamaniem ideałów narodowych. Bez gorącej chęci znalezienia stron dodatnich, wyszukania złotej zbawczej nici dziejów naszych, nikt zaiste w tę zagrobową pielgrzymkę nie idzie; ona mu jest światłem i siłą w tej kopalni, ona jest tem wedle podania ludowego, gorącem pragnieniem sieroty, która krwawo obrabia ręce po łokcie, aby matkę wydobyć w myśl starego, przez ojców naszych ulubionego przysłowia: *antiquam exquisite matrem!* W tej walce o ideał, kto ma większe pragnienie, czy ta opinia, która z fantazyi i uczucia wątku woła: „łamiesz mi mój ideał!“ — czy ta praca, która o niego walczy? Czyj ideał jest względnie pewniejszym i rzeczywistszym?

Źleśmy wyszli na poteraniu historyi, źle na tym hałasie codzienności, który nie dopuszczał jej głosu, który chciał ją mieć służebniczką chwały i blasku, co zginęły — teoryi fałszywych i chełpliwych, które przepadły.

Szczęśliwy instynkt kazał nam w epoce upadku pytać przeszłości o tajemnice życia i odrodzenia, — pytajmy dalej, a nie lękajmy się odpowiedzi. Głębszą i gruntowniejszą ona coraz będzie w miarę przeniknienia spuścizny przeszłości; ale żeby była skuteczna, żeby postępowanie jutrzejsze odpowiadało świadomości wczoraj nabytej, trzeba nie tylko wiedzy dziejów szeroko rozlanej; trzeba wiary w myśl i prace historyka, trzeba zaufania, że jeżeli ideały jego nie są bezwzględnie w zgodzie z ideałami bieżącymi, to dlatego, że być nie mogą, że to, co on widzi, jest większe, zdrowsze, potężniejsze, skuteczniejsze.

Nauka na nic się nie przyda w społeczeństwie, jeżeli płytkość życia, chwiejność myśli, jednodniowość przekonań, wszelki między nią a światem uniemożebni stosunek. I wtedy to stać się może, że późna gdzieś generacya czytać będzie zdania obce, zdanie cudzoziemca, który w historyografii narodu odczyta dążenia idealne, jak wyczytano je w Długoszu, a duch tych, którzy to ide-

alne dążenie mieli, zaduma się smutnie na tę późną sprawiedliwość, bo ideały historyczne nie były ich społeczeństwa ideałem... Społeczeństwo to miało inne, jaskrawsze na chwilę, — ale zbladłe już wtedy, jak każda jaskrawość — po których niepozostało wspomnienia.

Dzień, w którym święcimy Długosza, jest poniekąd święceniem sojuszu narodu z historyą. Jest odkupieniem starego grzechu, powinien być dniem ślubu, że usiłowań historycznych nie spotka to, co jego spotkało.

Po epoce poezyi przedewszystkiem przyszło nauce w ogóle a w szczególności nauce historyi brać się do połączenia rozmaitych, rozdzielonych, nieszczęśliwych a przecież jeszcze w nieśmiertelnej czujących się jedności.

Zadanie było podwójnie trudne.

Serce skupia, fantazya zagarnia i ogarnia, natchnienie porywa, rozum i sumienie badawcze do nieszczęść zewnętrznych dołącza walkę z sobą, miłosierdzie względem siebie.

Śmiem twierdzić, że dotąd jesteśmy w epoce przejścia od metody do metody, że szarpiemy się i wydzieramy temu największemu z obowiązków, jakim jest wcielenie w każdy krok i ruch naszego życia, tego ścisłego obrachunku z obowiązkami, którym w entuzyazmu chwili przynosiliśmy całopalenie siebie samych. Siebie samych i dziś musimy dać, zupełniej, doskonalej, bo z poświęceniem tego, z czem się człowiek najpóźniej rozstaje, próżności tej szlachetnej, ale próżności zawsze, co szepce: „jesteś bohaterem!“

Historya w największych tajnikach swoich zna tylko jedną miarę najwyższej cnoty i poświęcenia, tę, która gubi siebie aż do najszlachetniejszych gatunków miłości własnej wobec tego, co się kochać powinno. Zna też chwilę, gdzie tylko taka pomaga miłość, i zna narody, które i na taką miłość stać powinno, najtrudniejszą ze wszystkich, bo jakiekolwiek miały błędy, kochały i kochają bardzo, idą gdzie przedmiot miłości z koła bliskiego, czy dalekich wieków się odsłania, — potrzebują kochać.

Niechże kochają tak, jak kochał przed czterema wiekami zmarły, ten, którego każdy tryumf ojczyzny wiódł do Boga, a każda klęska i nieszczęście do surowego obrachunku z sumieniem, którego cechą najgłębszą i najpiękniejszą było to właśnie, że nie żałował siebie, aby powiedzieć prawdę tym, których kochał.“

Wszystko to odczytywane dzisiaj po cichu, nie może ani w części takiego sprawić wrażenia jak to, któregośmy wszyscy

doznawali, słuchając samego Szujskiego. To też nieskończone oklaski często ten wzniosły odczyt przerywały. Był on, jak już pono wyżej wspomniałem, jakby uwieńczeniem wielkiego Długosza w wigilię dnia, w którym stara Piastów i Jagiellonów stolica uroczyście obchodziła czterowiekową rocznicę zgonu jednego z najcnotliwszych synów Polski: górował on bowiem ponad wszystkie te mowy, sprawozdania i wiersze, a górował nie tylko wiedzą historyczną, głębokością poglądów, ale... i to przedewszystkiem... wzniosłą, gorącą serdecznością.

G. Manteuffel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 11. października 1871.

Kochany Feliksie, posiedzenie nasze poniedziałkowe odbyło się przyzwoicie i korzystniej, niż się spodziewałem. Było nas obecnych na niem 9 czy 10. Stanęło na tem, że tymczasowo zarząd kasy poruczyliśmy Laskowiczowi a korespondencye z Paryżem i departamentami Elżanowskiemu. Sęk najtwardszy tkwi w plenipotencyi, jaką mamy kolegialnie podpisać dla Laskowicza i bez której *Crédit Foncier* nie wyda mu ani szeląga. Radzimy się w tym względzie prawników francuskich i w niedzielę mamy się na nowo zebrać. Zdaje się, że i Ty, jako podpisany na akcie notaryalnym, będziesz musiał z nimi partycypować choć przez prokuracyę . . . . Trzeba co rychlej ustanowić Komisyę Weteranów, Radę Nadzorczą itp. Jest dużo do roboty a brak nam Bronisława, najzdolniejszego do organizowania stowarzyszeń i statutów. Wprawił się do tego w Petersburgu, przy Komitetach Włościańskich. Może też Bóg da, że nasz redaktor wróci tymczasem z Krakowa. . . . .

. . . Doprawdy, wstydzę się, że tyle Ci piszę o interesach. Snać krzyż taki wypadł na mnie na starość. Po literackich, fami-

lijnych, politycznych, a zawżdy serdecznych listach, przyszła oto kolej na nijakie i z przyrodzenia mi wstrętne.

Pani Iwanowska w piątek wieczór odjechała do Genewy. Mój dom znowu opuściał i posmutniał. Ostatnia ona moja spółczesna w rodzinie i kochamy się od wielu dziesiątków lat, jak najrodzeńsi. . . . .

Pozdrawiam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Hrabiego Władysława Platera, w Broelberg.

Paryż, 12. października 1871.
38 rue St. Sulpice.

Szanowny Panie! Nie pomału na razie zakłopotałeś mnie zaprosinami do swego Albumu. Śród straszliwych przygód, zawodów i szkód politycznych, jakie w ostatnim roku dotknęły Kościół i Francyę, oniemiałem był w bolu, toż i tekę moją poetycką z innemi niepotrzebnemi ruchomościami bez żalu zostawiłem w Paryżu. Za powrotem z Prowancyi, odnalazłem tekę srodze opyloną, że wstrętno i zaglądnąć do niej: bo zresztą wiem dokładnie, co w sobie zawiera. Zawiera luźne, niesklejne urywki pieśni przeżyłych już, zwietrzałych, tyle dziś wartych, co wiązka zwiędłego, wczorajszego kwiecia. Na czasy nowe trzebaby nowego nastroju w duszy. Ale czy starczy nań tchu?... Smutno wyznać, aleć nieomylna prawda, że starość nie radość, że doba ta zamroźna i wielce jałowa. Natchnienie i twórczość nie służą już na zawołanie, a bez tych wyższych przymiotów, poezya jest pustą jeno rozrywką, niegodną wieszcza osobliwie polskiego. Adam Mickiewicz przed 40-ym rokiem życia pożegnał się raz na zawsze z Muzami. Dlatego i ja, za przykładem Wieńconoścy, dawno nie obcuję z niemi; usunąłem się za sławnymi nieboszczykami w cień już elizejski, w duchowe kędyś *regna inania.* Jeśli czasem jeszcze rymuję, to dla siebie jeno samego, lub dla przyszłego edytora kompletnego zbioru moich wierszów.

Dając teraz w antiliterackim czasie i usposobieniu lada jakie ramoty, nie ozdobiłbym niemi całkiem Albumu, a naraził się i naraził się słusznie na urągania publiczności. Wypowiadam oto

niemoc moją i nieudolność w prostocie i w całej szczerości, jak się to godzi przed starym sejmowym kolegą. Jak widzisz tedy, p. Władysławie, mus tylko, mus nieodzowny z wewnątrz skłania mnie do uchylenia się od spółudziału pomiędzy licznymi pisarzami Twego Albumu.

Dla mnie starca, poetycka wiosna przeminęła niepowrotnie, ale za to kwieci się w pełni dla młodszej braci po lutni. Nie brak Polsce utalentowanych śpiewaków, znajomych mi i nieznajomych. U nich teraz blask i woń i ciepło ku rozgrzaniu serc w Narodzie. Do nich na razie potrzeba kołatać natarczywie. Nie wątpię, że ochotnie przyczynią się do wzbogacenia Albumu, mającego cel piękny i podniosły podpierania instytucyi Muzeum Polskiego.

Co podziwiam i uwielbiam w Tobie, Szanowny Kolego, to niezrażone poświęcenie się, wzorową czujność i niespożyty hart woli w zabiegach około dobra publicznego. Podobnych ludzi niewielu naliczyć by można w Polsce. Patryotyczne Muzeum, to dzieło Twoje własne, mniejsza że znojne i za kosztowne na jednego obywatela, ale użyteczne, okazałe i trwałe na pokolenia. *Exegisti Monumentum.*

Przyjmij i t. d.

J. B. Zaleski.

Druk Albumu przeciągnie się. Gdybym w tym czasie uczuł wenę i natchnienie, choćby na jedną godzinę, użyję ich na upominek dla Albumu. Życzę tego, lubo się nie spodziewam skutku.....

Likwidujemy sukcesyę po ś. p. Królikowskim, który, jako na emigranta, znaczny zostawił majątek. Reorganizujemy także osieroconą Instytucyę Czci i Chleba. Dużo zmieniło się u nas w Paryżu między rodakami. Wielu wymarło, wielu rozprószyło się po świecie, a reszta, co zostajem na miejscu, posiwieliśmy i bardzo posmutnieliśmy. Koledzy: Barzykowski, Morawski i Zarczyński widocznie upadli na siłach. Ty, Panie Władysławie, bodaj wszystkich nas przeżyjesz.

J. B. Z.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Genewie.

Paryż, 26. października 1871 r.

Moja najukochańsza Mamciu, parę dni gościłem u Józi, na słońcu wiejskiem, i za powrotem do miasta w ciemnej norce mojej znajduję na stole śliczny liścik Mamciny, pisany widocznie w usposobieniu serdecznem. Chwałaż, chwała Bogu, że Mamci dobrze w Genewie przy swoich kochanych. U nas tu mgła chłodna kłębi się po brukach, to lękam się, że i tam od jeziora mgła bije Mamci do oczu i że rychło już wypędzi do ciepluchnego Hyères.

Villepreux zawżdy mnie przyciąga ku sobie i niewoli duszenie. Miłość i zgoda młodych małżonków doprawdy wzorowe są i budujące, opromieniają niejako z wewnątrz ubogą ich chatę. Dla mnie Paryż, jak Mamcia wie, niewypowiedzianie wstrętny. Chłopcy moi pozapisywali się już na kursa, to w pustelni siedzę sam samiutki do wieczora. . . . .

Całuję ręce i t. d.

Józef Bohdan.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 27. października 1871 r.

Kochany Feliksie, mgły chłodne, mroczne, o których jakiś czas zapomniałem byłem w Hyères, kłębią się już po dawnemu w Paryżu, wyławiają do reszty skąpą słoneczność na ulicach. Bodaj takaż sama melancholijna opona słania się tu i nad myślami i nad uczuciami człowieka. U mnie przynajmniej uczucia i myśli, śród tego zamierzchu, mają się do snu, drzemią pod rąbkiem mgły. Ku orzeźwieniu się czytam „*Le lendemain de la mort ou la vie future selon la science*“ *par Figuier*. Ciekawa to zaiste książka pod względem nowych badań i odkryć w dziedzinie umiejętności, ale nie rozwiązuje wcale zagadki, wypisanej na tytule. Hipotez bez liku, które wierutnie są jeno ladajakiemi mrzonkami, bo wiedza nie zastąpi nigdy wiary. Za Chrystusowe dogmata — filozoficzne aksyomata. Autor lekceważy chrześcijanizm; w pocie czoła nieborak kopie lichą sztuczną studnię, obok bijącego źródła żywej wody z gór. Winszuję mu pracy.

Wolę przecię, Feliksie, melancholijny dzisiejszy stan mojej duszy, niż ów gorączkowy hyerski w zeszłym roku, w roku arcyferalnym dla Kościoła i Francyi, a którego następstwa dadzą się znać ludzkości a najpierwej naszej Polsce, leżącej iście na torturach między młotem i kowadłem. Wczoraj miałem na obiedzie Seweryna Goszczyńskiego i dużośmy o przyszłości narodowej rozmawiali. Seweryn, za kilka dni jedzie do Galicyi, jedzie na moderatora śród bojujących tam obecnie różnorodnych mniemań. Cieszę się z tego niepomału, mąż to prawy i rozumny, niestety nie całkiem jeszcze wytrzeźwiał z Towiańszczyzny. Niestety, ze wszech stron słyszym u nas jeden i ten sam okrzyk niestety. Pokus co niemiara zewsząd: panslawizm i pangermanizm, schyzma i protestantyzm, internacyonałka i nihilizm kuszą polskiego ducha, który stoletni już przebył czyściec. Rzeczywiście potrzeba narodowi moderatorów. Dlatego to bodaj prąd jakiś dziwny pcha emigracyę ku Polsce. Wszelkie ułatwienia po temu od Austryaków i Prusaków. Car ogłasza nową, zupełniejszą amnestyę. Młodzież i starcy rwą się do kraju, szamoczą się za paszportami, że za rok lub dwa mało kto z rodaków zostanie we Francyi. Klimateryczny to okres w dziejach Polski... Bronisław podobno osiędzie w Krakowie... Co my, Feliksie, poczniem z sobą. Tyś ze swoją medycyną swobodny jak ryba, i do tego kapitalista znaczny, wszędzie i rychło dasz sobie radę. Ależ ja, poeta nieopatrzny, żyjący z dnia na dzień, i nie sam ale z trzema studentami moimi, muszę się ciągle oglądać na prawo i na lewo. Co pocznę? Nie wiem, ani chcę wiedzieć, ani nawet myśleć. — „Nad syrotoju Boh z kałytoju“ — mówią Ukraińcy. Przewiduję atoli, że niebawem już rozgrzmi z góry nasz *exodus*, to i ja z kijem pielgrzymim gotuję się w pochód. . . . .

Rzeczy Instytucyi Czci i Chleba urządziliśmy jako tako. Aż do 17-go grudnia zarząd tymczasowy — to jest Laskowicz, Elżanowski, Henszel, Staniewicz i ja Wasz sługa, załatwiamy bieżące interesa. 17. grudnia zbierze się komplet Stowarzyszenia, który postanowi o przyszłości Instytucyi. Do tego czasu Bronisław, Januszkiewicz, Gałęzowski i t. p. wrócą do Paryża i wespołek obmyślim zapewnie coś mędrszego ku utrwaleniu naszego emigracyjnego monumentum. Przyznaję się, że takiej tymczasowej kombinacyi pragnąłem, ze względu osobliwie na Bronisława, który ma obmyślony jakiś plan reformy, praktyczniejszy niż był nieboszczyka Królikowskiego. Ś. p. Karol niewątpliwie duszą i sercem poświęcał się dziełu, ale do najwyższego stopnia uparty przy

zdaniu swojem i stąd często i bezwzględny w rzeczach drobnej wagi.

Prawię Ci, Feliksie, same jeno nieciekawe i niesklejne banialuki emigranckie. Zawczoraj byłem u Józi. Dobrze wygląda i nawet trochę utyła na twarzy. Poważny jej stan widny już i dla oczu ludzkich. Sroma się ciągle nieboga — ale ja pocierpam w duszy, znając jej wątłe siły — pocierpam bardzo. jakie będzie rozwiązanie? Modlę się za nią!

Zmęczyłem się — bo za dużo na raz tego maczku. Pozdrawiam.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 7, listopada 1871.

Najukochańsza Mamciu, nareszcie odnaleziona w gniazdku swojem hyerskiem. miałem właśnie wyprawić list do Genewy na zwiady, co się z Wami stało. kiedy mi wczoraj wieczór doręczono Twój telegram. Chwała i dzięki Bogu, żeś wróciła do swego cichego i ciepłego zakątka. Istotnie lękałem się w sercu, aby chłody i niewygody podróżne nie nadwątliły na razie Twego zdrowia. Toż to z powrotu Twego uradować się musiał poczciwy ks. Adamski, stęskniony od tak dawna za polską mową. Teraz, droga Mamciu, na kanapeczce swojej w przestronnym, jasnym pokoju wylegaj się jak najdłużej, rozpamiętując mile o niezwyczajnej wycieczce w świat, o przygodach między kochanymi i o wszystkiem, co przeminęło, jak sen.

Od tygodnia wrócił z Ameryki O. Hieronim. [1]) Patrzył na okropny pożar miasta Chicago z klasztoru pięknego Zmartwychwstańców, który, dzięki Bogu, ocalał. W niedzielę kazał nam ślicznie o ufności w Bogu i o skończonej misyi emigracyi polskiej. Dziś jest w Wersalu i ma odwiedzić Okińczyców. Za kilka dni z O. Aleksandrem przez Szwajcaryę wraca do Rzymu na sobór swego Zakonu, który odbędzie się w końcu listopada.

U nas, Mamciu, po dawnemu. Synowie moi uczęszczają już na lekcye swoje uniwersyteckie. Po całych dniach siedzę sam sa-

[1]) Kajsiewicz.

miutki w domu. Emigracya rozczarowana, uszczuplona w liczbie, szamocze się w czczości. Ze wszech stron pokusy na nią biją. Moskale, Prusacy, Austryacy wabią do kraju. Panslawizm i Pangermanizm prą na nas a zapomnieliśmy o Bogu i Kościele Jego, to bodaj zaginiem. . . . .

Na powitanie w Hyères całuję ręce i kolana.

Józef Bohdan.

Do Panny Pauliny Rosengardtównej, w Warszawie.

Paryż, 14. listopada 1871.

Kochana Paulino, przepraszam bardzo za długie, za przedługie milczenie. Nie wiem, czy domyślasz się o tem, że na starość umysł jałowieje, leniwieje śród monotonnie wlekących się ze dnia na dzień godzin żywota. Osamotnienie, w jakiem od owdowienia mego płużę, usposabia mnie jeno do smętnych dumań, ale nie do korespondencyi, które wymagają weselszego nastroju w duszy. Zresztą od pożegnania się naszego we wrześniu, Bogu dzięki, nie zaszły u mnie w domu żadne ważniejsze wypadki ni zmiany, co by Cię mogły zainteresować.

Wakacye moich studentów skończyły się od początku listopada . . . . . . Tyle tylko dziś mego co wykwitnie mi z dzieci, z tych latorośli swojskich dla przyszłości.

Niechętnie i nie często przy mgłach i słotach zimowych wychodzę z domu, i nie mam nawet do kogo już wychodzić. Milsi przyjaciele i towarzysze młodości albo wymarli, albo rozproszyli się po szerokim bożym świecie. W modlitwach jeno rannych i wieczornych ścigam za nimi. Bronisław Zaleski dotąd nie wrócił do Paryża. Kochana moja Mamcia Iwanowska chyrla po staremu w swojem ciepłem i słonecznem Hyères. . . . .
. . . .
. . . .

Kiedyż to my się złączym na spólne prace i spólne pociechy?

Całuję Ciebie, Paulino, po bratersku z błogosławieństwem rzewnem starca.

J. B. Zaleski.

Do D-ra Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 30. listopada 1871.

Kochany Feliksie . . . . . . fizycznie słabnę na siłach. byle co powala mię z nóg. Nie ma rady, 70 lat tuż, tuż . . . .

Bronisław Zaleski nareszcie wrócił, ale chyrlak większy niż ja. Ciągle zakaszlany i nie może ani na krok wyruszyć za dom. Oczywiście nie codzień możemy się widywać, bo dość opodal mieszka odemnie. Prześliczną i rozumną książkę wydrukował w Krakowie p. t.: Rzym jako stolica Państwa Włoskiego. Niestety, jeden tylko egzemplarz przywiózł z sobą do Paryża.

O Galicyi w tym czasie wiem dużo małoważnych ciekawości bo okrom Bronisława, wrócili stamtąd S. Gałęzowski, Kossiłowski i Teodor Jełowicki. W ogólności nie lepiej tam jak i we Francyi. Wszędzie zmęt wyobrażeń i rozstrój w umysłach. Ludzkość bieduje, bo nie ma dziś gruntu pod sobą ni wewnątrz ujęcia. Bądź zdrowa poezyo na długie lata!

Ciebie, Michu, ściskam po przyjacielsku.

J. B. Zaleski.

Do Pana Seweryna Goszczyńskiego, w Paryżu.

Paryż, 20. grudnia 1871.

Kochany Sewerynie, zapomniałem wczoraj w imieniu zięcia i córki zaprosić Ciebie na wilię świąteczną. Jeśliś nie dał już komu innemu słowa, nie odmawiaj ich zaprosinom. Tym sposobem ostatnią wilię na emigracyi spożyjesz w rodzinie najstarszego przyjaciela i z nim wespołek. Odpisz mi, Sewerynie, a w sobotę o jedenastej i pół z rana, albo i wcześniej trochę przyjdź do mnie, to razem całą gromadką pojedziemy do Villepreux. Wrócim do Paryża około 11-tej w nocy.

Ściskam i pozdrawiam

Twój wierny

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 27. grudnia 1871.

Mamciu moja najukochańsza, ... Paryż taki smutny, zamglony, że błąkam się po nim jak po lesie. Wyraźnie tracę wzrok. Pomimo tego, choć jestem w antyliterackiem usposobieniu, przeczytałem „Bogiem a prawdą“, przeczytałem z lubością i ze zbudowaniem. Piękna to bardzo powieść i treścią swoją i udramatyzowaniem i językiem. Autorowi chodziło głównie o młodych światowców i zdaje się, że dopiął swego celu. Są usterki, ale X... i nikt z jego naśladowców takiej powieści nie napisze. Kiedyś w pogodniejszym czasie, odczytam jeszcze raz „Bogiem a prawdą“.

Mamciu, jak mi smutno w Paryżu. Nowinek na razie nie ma żadnych. Książę Władysław Czartoryski żeni się z Nemurówną dnia 17. stycznia. . . . .

Wszyscy, stary ja i moi młodzi, życzenia Mamci posyłamy Nowego Roku.

Tulę się, Mamciu, do Twego serca, kolana i ręce całuję.

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 4. stycznia 1872 r.

Najukochańsza Mamciu, jedynaczko moja, nie może być innej przyczyny milczenia Twego, chyba obłożna niemoc i wycieńczenie sił po świeżej chorobie. Truchleję na tę myśl. I mnie czasami trapi także sama niemoc, bardziej moralna niż fizyczna, osobliwie po zmartwieniu się, o co dziś nie trudno. Zniosę jednak cierpliwie wszelkie osobiste utrapienia, byle mi Mamcia nie chorowała. Niewypowiedzianie potrzebną mi jesteś na ziemi dla spokoju i ku pociesze. W chłodnych, chmurnych, omroczonych paryskich dniach, Mamcia to światełko moje z Hyères, co rozgrzewa, rozradowuje w sercu. Bez niego, duszko, jam do niczego, co się zowie do niczego. Nam żyć i umrzeć razem. . . . .

Zapomniałem o kapitalnej nowinie, która mnie wczoraj mocno uradowała. Car zmiękczał nieco dla katolików. Prosił Papieża

o mianowanie biskupów dla Polski. Borowski, Fijałkowski, Krasiński wracają do swoich dyecezyi, okrom Felińskiego, do którego car Aleksander chowa nibyto osobistą urazę za list z 1863 r. Co się w tej polityce moskiewskiej święci? Trudno jeszcze odgadnąć.

Całuję ręce.

Twój

Józef Bohdan.

Do Pani F. Langowej, w Kościańcu koło Rzyszczewa.

Paryż, d. 6. stycznia 1872.
rue St. Sulpice 38.

Moja droga Franiu, dawnom nie pisał, ale codziennie rano i wieczór spominam Ciebie w modlitwach przed Bogiem, spominam jako swoją krewnę, bardzo kochaną. Śród strasznych klęsk we Francyi, jak ptactwo podczas wielkiej burzy, rozlecieliśmy się byli na dalsze obszary; a potem, potem, jak przycichła nieco nawałnica, nawoływaliśmy się znowu przez wiele tygodni ku opuszczonemu gniazdku. Za powrotem do domu, zastaliśmy dużo ubytku i szkód, że radzi, nieradzi na nowo musieliśmy się tułać z kąta w kąt po okolicy. Spółcześnie wypadło co nie miara zajęć i trosk w interesach swoich i cudzych. Nakoniec stanął jaki taki ład w gospodarstwie. Józia osiedliła się za Wersalem przy swoim mężu, ja z Dyziem i Karolkiem zamieszkałem w Paryżu, nieopodal od szkół Prawa i Medycyny. . . . .
. . . .

Jak niebawem zostanę już formalnym dziadkiem, zdaje się, że osiędę przy Okińczycach na wsi. W moim wieku, po siódmym krzyżyku, niezbędną jest opieka i usługa kobieca. A może też i do kraju ojczystego wrócim . . . . Miewam czasami pokusę i do Galicyi, ale jeszcze projekt nie dojrzał. . . .
. . . .

Kochający wuj

Józef Bohdan.

Do D-ra Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 12. stycznia 1872.

Kochany Feliksie, zawiniłem, bom dawno do Ciebie nie napisał. Były do tego przeróżne, większe to pomniejsze przebudki... a przedewszystkiem i głównie, żem ociężał fizycznie, że lada co mnie nuży, że siedm krzyżyków, co dźwigam na barkach, ze dnia na dzień dają się dotkliwiej uczuwać. Toż niewymownie utęskniam do cichego i ciepłego zakątka kędyś na wsi, zapewnie przy Józi. Nagaba mię także coraz częściej pokusa, aby wracać do kraju, co znaczy się, że w duchu skończyła się już emigracya dla mnie. Odżegnywam atoli tęsknoty i pokusy do jakiegoś nieokreślonego czasu. . . . .

W Paryżu głucho i ponuro pomiędzy emigrantami. Misya ich polityczna skończyła się. Edmund Różycki kilka dni temu porzucił *Crédit Foncier* i pojechał na geometra do Krakowa. Władysław Czartoryski w poniedziałek bierze ślub z córką księcia Nemours w Chantilly, ale po cichu i bez książęcej okazałości. W kraju także niewesoło na razie, wyczekiwanie czegoś, ale przynajmniej wyczekiwanie pomiędzy swoimi. Niewątpliwie, kochany Feliksie, że w obecnym czasie Polakom wszędzie źle. I oto sto lat dobiega od pierwszego rozbioru!...

Ucisk dziś noszę w sercu, to lepiej będzie zaniechać pióro. Pozdrawiam Cię najserdeczniej i zacną panią Leonię. We dwoje teraz jesteście, to łacniej, da Bóg, zniesiecie przykrości i zawody tułackiego życia.

Vale et ama

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, d. 18. stycznia 1872 r.

Mamciu najukochańsza, dziś po wielu dniach mgły i ciemności zaświeciło słońce, to i mnie zaraz jaśniej i weselej w duszy. Doprawdy my jako bliźnięta, jak Mamcia na swoim tam partykularzu, tak ja tu w stolicy świata, jednakowo i o jednem sumujem, to jest o zgorszeniach wieku, który, pomimo klęsk i nie-

szczęść niewysłowionych brnie głębiej i głębiej w bezbożność. Straszna jakaś katastrofa krew zamrozi filozofa. Owoż posępnie sumując, od tygodnia nie wychodzę z domu, okrom rano do kościoła i wieczór na obiad o kilka kroków od mieszkania. Rzeczywiście i nie mam już do kogo wychodzić. Ze starych przyjaciół niewielu tu zostało, a kilku milszych z młodszego pokolenia są opodal na krańcach Paryża i obchodzą się wybornie bez moich odwiedzin. Po całych więc dniach siedzimy z Dyziem i Karolkiem sami jak mnichy, każdy w swojej celce nad książką, chłopcy przygotowują się do swoich egzaminów, a ja modlę się lub dumam o kochanych umarłych i żywych. Prawdziwa to łaska Boża, że synowie moi młodsi nie lubią zabaw światowych ani kawiarni. Dla rozerwania się wieczorami Karol nuci dumki ukraińskie, których mnogość wyuczył się w książce Wacława z Oleska, kędy są i muzyki, spisane przez Lipińskiego. Rozrzewnia mnie mój Ukrainiec, rodem z Fontainebleau. . . . .

. . . .

Owszem, duszko Mamciu, proszę o „Tygodnik Katolicki“, bo nigdzie tu go nie widać. „Przegląd Lwowski“ z łaski Mamcinej odbieramy. Redaktorom tego ostatniego, radbym coś posłać od siebie, bo ciemiężą mnie srodze z różnych stron. Mam pełno ciekawych notat po ś. p. Witwickim, mam listy Domeyki. Mickiewicza, Dyzi itp., ale na uporządkowanie tych mądrości i na przepisanie potrzeba czasu i zupełnego uciszenia się kędyś na wsi. Na razie mógłbym posłać Przeglądowi różne wiersze, a osobliwie jeden o Kozaku Ultramontaninie, o Hetmanie Sulimie, ściętym w Warszawie, ale boję się katolików, a osobliwie boję się swojej Mamci, bo niegrzecznie w najwyższym stopniu wyrażam się o arystokracyi polskiej, która niewątpliwie zgubiła Ojczyznę.

Całuję i t. p.

Józef Bohdan.

Do Pana Kazimierza Zaleskiego, w Petersburgu.

Paryż, 25. stycznia 1872 r.

Kochany Kazimierzu, uchowaj Boże ani przez opieszałość, ani przez obojętność, opóźniłem odpowiedź do Ciebie, ale uczyniłem to naumyślnie i w dobrej intencyi, wyczekując na zapowie-

dziany list do moich synów, abyśmy Ci razem familijnie mogli odpisać. Istotnie, na razie wszystko było po dawnemu, w domu żadnych zmian ani nowin. U starców, a osobliwie u starców na cudzej ziemi, dzień po dniu jednostajnie mijają w smutkach, tesknotach po minionem wczoraj, i w oczekiwaniu niedalekiego już jutra. Chrześcijańska rezygnacya i skupienie się myśli w Bogu same jeno umilają im szare godziny życia.

Otóż, mój drogi Kaziu, w codziennych modlitwach zawżdy Ciebie wspominam, a i wieczorami z Dyonizym i Karolem często rozmawiamy o Twoim nowym zawodzie arcytrudnym, bo na czużyni. Czekają Cię jeszcze, oj czekają długie trudy, żmudy, nudy, zanim się zestroisz ze społeczeństwem, zanim wyuczysz się dostatecznie mowy i obyczaju miejscowego, zanim zawładniesz całkiem lużnymi przedmiotami wiedzy ludzkiej, o jakich ani śniłeś tu w zacofanej naukowo Francyi. . . . .

. . . .

Przyciskam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 29. stycznia 1872.

Mamciu moja droga, po prostu pamięć tracę. Zaczytam się w książce, albo zadumam się o latach minionych i nie postrzegam się, że zaniedbałem pilniejsze rzeczy. Dni tu takie szare, mgliste, słotne, że opanowuje duszę drzemka i bezwładność. Nie wychodzę z domu i nikogo nie widuję okrom synów, kiedy wracają z kursów i bibliotek.

Dużo, Mamciu, miałbym do powiedzenia, dlaczego nie piszę i nie drukuję? Starość mało może, ale wiele wie. Społeczności polskiej nie brakuje pisarzy i owszem posiada znamienitych, ale potrzeba ludzi czynnych po bożemu, to jest świętych, a osobliwie kapłanów. Czasy nadeszły ciężkich prób, to literatura pójdzie w kąt na długo. Nie kwiecia nam potrzeba, ale owoców, dobrych owoców. Cóż ja na to poradzić mogę w starości na tułactwie? „Dni moje zeszły jako cień, a jam usechł jako siano...“

Przypadam do kolan Twoich i t. d.

Józef Bohdan.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 30. stycznia 1872.

Kochany mój Feliksie, zaniedbuję Ciebie trochę, ale dalibóg nie ma o czem pisać. *Le calme plat* panuje tu w pełni, *le calme plat* pod względem politycznym i literackim. Zamarzliśmy bodaj między lodami na zimę. W dniach zimnych, mglistych nie wychodzę nigdzie z domu i nikt nie przychodzi do mnie, to ani wiem, co się święci na bożym świecie. Sumuję tedy przy kominku, dumając o czasach minionych, o przyjaciołach pomarłych i żywych. Poza domem, wcale nie wesoło; tracę słuch, tracę wzrok, tracę pamięć, to wszędzie nudzę się i nudzę bliźnich dolegliwościami swojej starości.

Ciebie, bratku mój, często i rzewnie wspominam, osobliwie kiedy marzę o dawnych projektach przesiedlenia się do Krakowa, do Rambouillet itd., zawżdy marzę o przesiedleniu się razem z Michem. Może być, żeśmy trochę zdziwaczeli na emigracyi, ale to pewna, że się doskonale rozumiemy, jednakowo czujem, jednakowo myślim, jako bogobojna rodzina, co przeżyła wiek pod jednym dachem. Nas, Feliksie, pomiędzy ludźmi czekają wszędzie zawody i szkody, bośmy odstrychnęli się dawno od form światowych, uznanych za pewniki w codziennem postępowaniu. Jako emigranci, bardzo, bardzo różnim się od krajowców. . . . .
. . . .

Przyciskam Cię i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 5. lutego 1872.

Mamciu najserdeczniejsza . . . . w Paryżu ciągłe ciemności panują, to jest włóczy się mgła chłodna, mrząca, że o południu nie można czytać. Nie wychodzę też z domu. Modlę się dużo, bo w miesiącu lutym przypadają rocznice śmierci tylu kochanych. Polityka i literatura nużą mnie i nudzą niemiłosiernie. Ludzkość widocznie osiadła na mieliźnie i bez Boga nie wydostanie się na pełnię wód.

Nowinek także, Mamciu, nie ma, okrom pospolitych, że ludzie, jedni mrą, drudzy żenią się. Umarła świeżo na Podolu Ksawera z Brzozowskich Grocholska, matka księżny Witołdowej Czartoryskiej. Książę Władysław odprawić polecił nabożeństwo w Assomption za jej duszę. Żenią się zaś: Władysław Branicki z Alfredówną Potocką, generał Kruk z panną Ostrowską, stary Retel, ex-zmartwychwstaniec i ex-towiańczyk, z siostrą dra Lowenhardta, doktor Polaczek z panną Szustów, pobożną dziewczyną, którą Bohuś Mamciny jutro w zastępstwie ojca poprowadzi do ołtarza.

Przerwał mi dopiero co pisanie gość, niejaki Klukowski z Podola, o którego przed kilkoma laty ktoś z Hyères wypytywał się. Otóż Klukowski za parę dni, stąd odjeżdża do Hyères na mieszkanie. Uczciwy to człowiek i przykładnej pracowitości jako emigrant. Niestety suchotnik i bodaj w ostatnim stopniu. Niech duszka Mamcia weźmie w opiekę chorego rodaka.

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 27. lutego 1872 r.

Kochany Feliksie, nie odpisywałem Ci długo na Twój dawniejszy list dla przeróżnych powodów. Już to mówiąc głównie, miesiąc luty jest najsmutniejszym dla mnie w roku. Serce wciąż na torturach, bo zbiegają się w nim jedna po drugiej, wszystkie najboleśniejsze rocznice skonów moich najukochańszych w życiu. Przed kilkoma dniami przebolałem wspomnienie chwil ostatnich ś. p. Zofii mojej w St. Etienne. Nie dziw się tedy, mój drogi, że oniemiałem i dla przyjaciół. . . . . . .

. . . O polityce, kochany Feliksie, strach myśleć i mówić. Francya zachorzała ciężko i na długo, długo leży w konwulsyach. W Polsce, od czasu Rozbioru, nie było takiego bolesnego rozdarcia w sercach, jak teraz po upadku Francyi. W kraju i za granicą drukuje się mnóstwo broszur, pisanych z wielkim rozumem niestety z talentem, zachęcających Polaków do zaparcia się Ojczyzny. Wielu już spodliło się z naszych rodaków. Siła przed prawem, bismarkowskie hasło uznali ci nieszczęśliwcy. Sadyk Basza

Czajkowski posłał synów na służbę carowi, żałując, że dla wieku swego i pensyi, co ma w Tureyi, nie może tak samo uczynić. A więc Polskę i Turcyę, swoją chlebodawczynię radby razem sprzedać Moskalowi! I to wszystko wydrukował. A P... K... z emigracyi co nie popisał do cara? i inni, inni? Kryzys to straszna dziś w Narodzie. A dożyjem większych jeszcze zgorszeń. Ludzkość cała szamocze się na przełomie, wyczekując okropnego jakiegoś kataklizmu. Zmierzchły ideały poetów, wiara zmarniała, rozstrój w duchu i w rozumach, brak cnót bohaterskich i brak miernych nawet charakterów. Powiesz, że przesadzam. Daj Boże, abym przesadzał. Ale czuję w głębokościach duszy i z bolem wielkim, że źle i bardzo źle na świecie. . . . .

. . . Przepraszam, Feliksie, za ten wyskok poza szranki przedmiotu. Bronisław napisał rozumny i piękny nekrolog Karola Królikowskiego. Był tymi dniami drukowany w „Czasie“, ale będzie i w „Roczniku Towarzystwa Literackiego“, a wtedy Ci poszlę do St. Etienne.

Wczoraj byłem na ślubie generała Kruka z córką Karola Ostrowskiego. Kościół pełen Polonii. Kruk z żoną jedzie do Galicyi, kędy został mianowanym na inżyniera przy kolejach żelaznych. Wielu także innych rodaków otrzymało korzystne nominacye.

28. lutego. Wczoraj wizyty różnych osób przeszkodziły skończeniu i wysłaniu kartki na pocztę. Nie wiem już o czem pisać.

Bądź zdrów i kochaj.

J. B. Zaleski.

Do P. Seweryna Goszczyńskiego, w Paryżu.

Paryż, 4. marca 1872 r.

Mój drogi Sewerynie, wczoraj niechcący Bronisław [1]) wymówił się przed Laskowiczem o naszym obiedzie we środę. Otóż naparł się zaraz, że i on z Bońkowskim przyjdą, aby Cię wespół z nami uczęstować wedle dawnej obietnicy, ale proszą, aby zamiast we środę, w dzień postny, obiad mógł się odbyć we czwar-

---

[1]) Zaleski.

tek. Oczywiście, rad nie rad, musiałem się zgodzić na tę przyjacielską ich propozycyę. Kochany Sewerynie, we czwartek bądź łaskaw przyjdź o godzinie $4\frac{1}{2}$ a o $5\frac{1}{2}$ wyjdziem lub wyjedziem do Palais Royal, kędy w Galerie d'Orléans zbierze się reszta naszej kompanii. Jeszcze raz do widzenia się we czwartek.

Twój stary

J. B. Zaleski.

Do Pani Józefy Okińczycowej, w Villepreux.

Paryż, 8. marca 1872 r.

. . . . W domu dzieje się wszystko po staremu. Rzadko wychodzę dla niezdrowia, a właściwiej dla ociężałości wieku. Ze dnia na dzień czuję dolegliwiej, że się starzeję . . . Wczoraj dawałem obiad na pożegnanie Seweryna Goszczyńskiego. Zaleskich było czterech, a przyłączyli się do nich Bońkowski, Laskowicz i Wład. Mickiewicz. Towarzystwo było miłe. Biesiadowaliśmy do 10-ej wieczór. Seweryn wyjedzie dopiero z Paryża we wtorek, to obaczymy się jeszcze raz z sobą i odprowadzę go na garę,[1]) bo stara przyjaźń sześćdziesięcioletnia obowiązuje. Osamotniam się okropnie przed śmiercią. . . . .
. . . .

Całuję Ciebie Józio w czoło, i oboje pozdrawiam z czułością.

Ojciec

J. B. Zaleski.

---

[1]) Seweryn Goszczyński przepędził ostatni dzień swojego pobytu we Francyi w towarzystwie Bohdana Zaleskiego i jego rodziny. Rano przyjechał do nas i długo rozmawiał z przyjacielem swoim z lat dziecinnych. Po obiedzie całem gronkiem odprowadziliśmy go na kolej żelazną Północną. Ja z nim osobiście pojechałem i zająłem się expedycyą tłumoczków, które kazał wysłać wprost do Galicyi. — (D. Z.)

Do Pana Ignacego Domeyki, w Santiago.

Paryż, 15. marca 1872 r.
38 rue St. Sulpice.

Kochany mój i drogi Żegoto! azaliż na prawdę uwierzyć mam, co mi onegdaj szepnął do ucha Wł. Laskowicz, że tego jeszcze 1872 r. obaczymy się w Paryżu? Uradowała mnie ta nowina niezmiernie, jakby zapowiedź przyjazdu rodzonego brata, którego niestety dawno już utraciłem. Istotnie, Ignacy, swojscy my sobie i zbratani w Bogu spólnym i spólnych krzyżach. Zestarzeliśmy się na tułactwie, zdala od ojczyzny, to smętnie trochę schodzimy z pola, ale uchowaliśmy w sercach rodowity zapał z lat minionych, zapał rzadszy dziś w nowych polskich pokoleniach. Dajże Panie Boże, abyś na oznaczony czas i jak najpomyślniej ułatwić się zdołał z interesami. Przewiduję dla Ciebie walkę z wewnątrz i dużo żmudnych dni na wyjezdnem. Żal Ci będzie żegnać gościnny, błogosławiony kraj, w którym zagospodarowałeś się od tylu, tylu lat i w którym zostawisz familię żony i dzieci. Mnie bliżej stąd i łacniej byłoby się dostać do kraju, a przecież marzę dotąd o wycieczkach jeno letnich do Galicyi. Jak wiesz, córkę wydałem za doktora, który tu ma chleb swój powszedni a i synowie muszą dokończyć kursów rozpoczętych nauk. Aby módz z całem rodzeństwem od razu przesiedlić się do Polski, trzebaby znacznych funduszów. Ty, mój drogi, jako pracowitszy i wracający z bogatego, złotodajnego Chili, posiadasz zapewnie dostateczny majątek, a więc przezwyciężyć potrafisz pospolite trudności przenosin. Otóż do rychłego widzenia się we Francyi. Co bądź się ze mną stanie potem, ale odprowadzę Cię przynajmniej z Paryża do Krakowa. Zresztą dość jeszcze jest czasu na obmyślenie naszych projektów. . . . .

. . . .

O polityce, mój Ignacy, żal się Boże i pisać. Czytujesz zapewnie europejskie gazety. Zło moralne jak fala potopu rozbiera i rozlewa się coraz szerzej i szerzej po Narodach. Wiara słabnie, stygnie, nie ogrzewa już serc ani oświeca głów, nawet głów wieńconośców. Papież jest więźniem u Włochów i w swoim własnym Rzymie, a plugawe krzyżactwo grozi światu. Bismark ogłasza się jawnym wrogiem Kościoła św. i Polski. W Polsce od czasu Rozbiorów nie było nigdy takiego rozdarcia w uczuciach i w sumie-

niach, jak dziś po upadku Francyi. Panmoskwicizm i pangermanizm namową, drukiem i uciskami kuszą naszych do apostazyi. Odstępców też nie braknie na razie, jak Sadyk Pasza Czajkowski, który świeżo wyprawił synów do Moskali, jak litewski K.... itp. a jeszcze obaczymy zgorszeń bez liku. Doprawdy, mój Ignacy, kiep świat i ks. Bismark z nim. Ale boleśna rzecz patrzeć na zaćmienie prawdy i ideałów umiłowanych od młodu, boleśna rzecz przeżyć się i ocknąć nam starym rówieśnikom, śród bluźniących pokoleń.

Jak widzisz, mój drogi Żegoto, niepodobna pisać stąd o czemś dobrem lub miłem. . . . .
. . . .

Dopiero niedawnym czasem dał mi Bronisław Twoje, Żegoto, wspomnienia o Filomatach, Filaretach i Promienistych. Czytałem je z lubością. Prześliczne są prawdziwie i budujące, a napisane z niewolącą prostotą i z osobną werwą filomacką. Podobno, że druk ich już jest na ukończeniu w „Roczniku". Żałuję, żem na razie nie sprostował jednej usterki Twojej pamięci. Jeżowski i Łoziński nie byli z Wołynia i szkół krzemienieckich, ale z Ukrainy i ze szkół humańskich. Prawda, sprawiedliwość i wieczny nasz antagonizm prowincyonalny tego sprostowania wymagały. O Jeżowskim dużo wiem szczegółów, bo był i moim nauczycielem w Humaniu i po leciech umarł w domu mojej krewnej Iwanowskiej. . . . .

Córka moja, Ignacy, zostaje już w ostatnim miesiącu ciąży. Pocierpam w sercu, znając jej wątłą fizyczność i modlę się w niebogłosy o szczęśliwy połóg. Za kilka tedy dni będę dziadkiem *de jure*. *De facto* jestem od dawna i osobliwie pochyliłem się od smutków i kataklizmów w ostatnich latach. Ogłuchłem, ślepnę a i na nogach nie tęgo się trzymam. Pomimo tego, da Bóg, że doczekam się Twego powrotu z Antypodów i odprowadzę Cię aż do Krakowa. Krzepmy się więc, bratku, na siłach milemi przynajmniej nadziejami.

Pozdrawiam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 20. marca 1872 r.

Droga moja Mamciu, Bóg dał dzieciątko Okińczycom, które przyszło na świat w sam dzień św. Józefa, na imieniny dziadka i matki. Byłem osobiście przy młodej położnicy. Poród miała ciężki, bolesny. Męczyła się nieboga ośm godzin i krzyczała w niebogłosy. Po narodzeniu się dzieweczki, matka uradowana zapomniała od razu o długiej pracy i umęczeniu. Obiedwie, matka i córka wydają się wyśmienicie zdrowe. Aby zostawić Józi wczas, wypoczynek i ciszę, tak niezbędne w jej obecnym stanie, wróciłem do Paryża dla załatwienia co pilniejszych interesów. . . .

. . . .

Dziękuję, najserdeczniejsza, ukochana Mamciu, za Twoje życzenia. Czegoż bo sobie, duszko, i życzyć już na tym dzisiejszym, niewesołym świecie? na świecie, tak całkiem niepodobnym do owego, cośmy znali za młodu. I mnie serce boli patrzeć na zło moralne, co wzbiera na około, jak wody potopu. Przeczuwam jakiś straszny i nieunikniony kataklizm w ludzkości i to w czasie niedalekim, bo w sercu słyszę drgania, jakoby tentent najazdu. Bóg naszą ucieczką i wiarą.

Całuję ręce i t. d.

Twój

Józef Bohdan.

Do Dra Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 26. marca 1872.

Mój kochany Feliksie, wiesz już od Aleksandra, że na św. Józef, Józia została matką a ja dziadem *de nomine et de facto.* Schodzę z pola weselej, błogosławiąc oto wtóremu pokoleniu legalnemu, a piątemu czy szóstemu wedle moich lat sędziwych. Niech będzie Bóg pochwalony. Wnuczkę bardzo kocham, niekrzykliwa i doskonale ssie. Matka na zdrowiu także dobrze. Odwiedzam je co dwa dni. . . . . .

Ściskam rękę Twoją i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 4. kwietnia 1872.

Kochana Mamciu, oto minęły już i Świątki Wielkanocne, świątki wiośniane, rzewne dla Polaka, bo pełne wspomnień rodzinnych i narodowych. Hyères nie Kuryłówka. Mamcia, na odludziu swojem i przy nadwątlonem zdrowiu, musiała nie wesoło rozmyślać . . . .

Zaproszony byłem na kilka święconych pańskich, ale w niedzielę raniutko wolałem z synami wybiedz na cały dzień do Villepreux, na kawałek prostej szynki. W poniedziałek nie mogłem odmówić zaprosin Juliuszostwa Zaleskich, wysadzili się z wielkim przepychem, doprawdy po bankiersku. Wszystkie pokoje były przepełnione gośćmi z kraju i z emigracyi. Nazajutrz we wtorek odebrałem osobne zaproszenie od Branickich. Tłok był wielki pań i panów polskich i francuskich, osobliwie dawnych dygnitarzów napoleońskich. P. Konstanty wprowadził mnie z owacyą a jego córka, jak tylko zaoczyła, pędem przez ciżbę przesunęła się z jajkiem i odtąd sama mi służyła. Nie mogę sobie wytłómaczyć sympatyi dla mnie młodszego pokolenia Branickich. Pisałem kiedyś Mamci o Władysławie, synu p. Aleksandra, jak po Stawiszczach szukał grobu mojej matki.[1]) Panna Rozmarynka idzie w ślady swego stryja. Przywiozła mi woreczek ziemi ukraińskiej z cmentarza[2]) i polne kwiatki z mogił sławnych. Jest ze mną w prostocie i w szczerości, jakbyśmy się dawno znali, a widzieliśmy się dopiero dwa razy w życiu. Nie wiem, jak się odwdzięczyć młodej Ukraince . . . Przepraszam, droga Mamciu, że z pewną lubością rozszerzam się o rzeczach obojętnych. Bóg widzi, że piszę o tych drobnostkach nie przez próżność, ale w rozrzewnieniu ukraińskiem, po niezasłużonej sympatyi młodych serc. Piszę takoż i z innej pobudki, aby Mamcię swoją roztargnąć nieco i rozradować czem bądź ze świata, który nas jeno smuci.

Przyjechał do Paryża Jan Zaleski, ma być w tych dniach u mnie. Przyjechał zapewnie na ślub najmłodszej siostry żony,

---

[1]) Dzięki staraniom rodziny Branickich, grób Walentego i Maryanny Zaleskich w dawnym cmentarzu w Stawiszczach, dziś zamkniętym, został ocalony od zagłady. W kościele katolickim w Stawiszczach marmurowa tablica przypomina daty urodzin i śmierci Bohdana Zaleskiego.

[2]) Ta ziemia została umieszczona w trumnie Bohdana Z.

która idzie za p. Bychowca, z Litwy, zamożnego podobno szlachcica. . . . .

W ogrodzie pana Ksawerego Branickiego, podczas słoty, gawędząc z Klaczką, Wołowskim i t. p., acz pod nieprzenikliwym namiotem, zakatarzyłem się srodze i jeszcze gorzej, dostałem grypy. Kilka dni muszę teraz przesiedzieć w domu . . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 16. kwietnia 1872.

Mamciu moja najlepsza, najukochańsza . . . . . czytam teraz i studyuję broszurę p. t.: Rossya i Polska, wybornie napisaną co do stylu i ogromnie rozumną. Z tego względu będzie bardzo niebezpieczną dla rodaków. Autor jej namawia do spiesznej unii z Moskwą i zlania się ze Słowiańszczyzną, aby odprzeć nacisk Cesarstwa Niemieckiego. Autorem jest ex-minister i przyjaciel Wielopolskiego i Grabowskiego, dawny heglista, a dziś praktykujący katolik Krzywicki. Truchleję z powodu następstw, jakie może sprawić ta broszura w kraju, bo Krzywicki nielada to charakter i nielada talent, a pisał zdaje się z przekonania i w dobrej wierze. Nie wiem, ktoby, Mamciu, dziś w Polsce był w stanie zwalczyć go zwycięsko?

Całuję ręce i t. d.

Józef Bohdan.

Do Pani Franciszki Langowej, w Kościańcu, na Ukrainie.

Paryż, 20. kwietnia 1872.

Miła moja, droga i ukochana Franiu, ani wydziękować, ani wysławić nie zdołam rozradowania, jakiego doznałem, czytając Twój długi list. Doprawdy, czułem się jakoby przeniesionym znienacka do Ciebie do Kościańca i między okoliczne sąsiedztwo. Patrzyłem niby z okien Twego nowego domu na srebrzący się opodal wspaniały Dniepr, na zielone ługi, na dymiące się sioła za

ługami, za wodami. I tem większa tęsknota uciska serce, aby choć raz jeszcze obaczyć lube strony, pożegnane w zaraniu ongi życia. Mój Boże, poleciałbym ptakiem do Was, żeby to było możebnem. W poprzednim liście pisząc o nadziei powrotu, pisałem pod wrażeniem chwili, wobec ślicznych na razie konstelacyi, wróżących pomyślniejsze czasy. Niestety, konstelacye te rychło pomierzchły za chmurami. Łudziliśmy się tu potroszę wszyscy, ale i złudzenia czasem choć przez połowę uszczęśliwiają. Co bądź się stanie, czy wyjaśni się kiedy niebo lub nie, trzeba raz na zawsze zgodzić się z wolą Bożą: przedewszystkiem trzeba wytrwać na stanowisku wedle raz dobrowolnie uczynionego ślubu. Byłoby zapewnie błogo na starość odnaleźć swoich i umrzeć na ziemi rodzinnej, ale daleko pożyteczniej dla duszy nie cofnąć się nigdy od ofiary. Jeśli jednak będę kiedy w Galicyi, a uzyskam pożądany paszport, choć na miesiąc, wierzaj mi, że pobiegnę pędem do Was, prosto po Dnieprze wyląduję do Kościańca.

Mówmy, kochana Franiu, o czemś innem, o czemś weselszem. Józia w sam dzień św. Józefa powiła córkę. Dawno już byłem dziadkiem po wieku moim, ale teraz jestem dziadkiem legalnym. Wnuczka moja milutkie dziecię, ale dużo kosztowała boleści biednej młodej matce. Dzięki Bogu zło minęło i obiedwie dziś są uśmiechnione. Matka okwicie ma pokarmu, a córka ssie na zabój. Co mnie cieszy, to że macierzyństwo wyszło Józi na dobre; nabiera ciała i ani razu nigdy nie zakaszlnie. Moralnie takoż spoważniała, nie masz dziś ani czasu na światowe marzenia. Kocha zawżdy męża z czułością wielką, ale jest dlań i wielce wyrozumiała. On, jako lekarz po całych dniach pracować musi za domem, otóż i Józka ze świętą rezygnacyą znosi swoje odosobnienie na wsi pomiędzy cudzemi ludźmi. Dla umilenia jej nieco samotności, postanowiłem przenieść się do Villepreux. Domek ich szczupły, ale z biedy mógłbym się przy nich pomieścić. Wolałem jednak nieopodal wynająć cztery pokoiki z ogródkiem, aby swobodniej dumać samemu, i mieć parę łóżek dla gości lub dla synów podczas wakacyi. Zresztą synowie są już prawie dojrzali, sprawują się przykładnie i uczą się bez nadzoru nawet ojcowskiego. Najmę im w Paryżu dwie stancyjki studenckie, a trzecią takoż studencką dla siebie, jak przyjadę do nich z Villepreux w gościny. Starych gracików jest dość na umeblowanie, a trochę się i przykupi . . . Gdyby mi synowie znaleźli rychło zarobek, wyposażyłbym zaraz córkę. Śmierć za plecyma, to mała sumka wystarczyłaby dla mnie na życie i na przyjażdżki do

Rzymu, do Krakowa, do Lwowa itd. Darmo to kuć projekta w podeszłym wieku. Niech tam sobie Bóg radzi sam o swej czeladzi.

Dziękuję Ci bardzo, miła moja Franiu, za nowinki o godach weselnych na Ukrainie. Chociaż po większej części nie znam tych młodych par, a może nie znam i rodziców ich, ale błogosławię z pod serca nowemu pokoleniu i tem rzewniej, że znałem i kochałem kiedyś ich dziadów czy praojców. . . . .

. . . .

W Paryżu także wiele panien w tym roku wyszło za mąż... W ogólności dużo ludzi ubyło w paryskiej naszej kolonii. Starzy wymierają ze dnia na dzień, a młodzi rozpierzchają się po świecie, najliczniej atoli udają się do Galicyi. Tydzień temu wyprawiłem do Lwowa Seweryna Goszczyńskiego. Kilku zaledwie siwoszów polskich zdybiesz na ulicach, jak Gałęzowski, Kamieński, ja i trzech lub czterech naszych rówieśników. Kaplińscy osiedli w Krakowie.

Kochana Franiu, za długo bodaj piszę Ci o drobnostkach paryskich, ale przyjedź, jak obiecujesz, do Ostendy i do nas, to nagadamy się za wszystkie czasy. Oprowadzimy Cię po malowniczych ruinach tutejszych. A nade wszystko upieścimy Ciebie, ukochamy po rodzinnemu, osobliwie w Villepreux, kedy Ci zaprezentuję urodziwą moją wnuczkę. Poczciwa jest myśl Twoja podróży do nas, to ją, duszko, statecznie wykonaj.

Dnia 21. kwietnia. Wczoraj zmęczony urwałem pisanie, bo zdawało mi się, że jeszcze mam dużo rzeczy do zakomunikowania. Dziś, po przespanej nocy, myśli wczorajsze rozpierzchnęły się i nie pamiętam wcale, co chciałem Ci donieść. Ta tylko jedna myśl ostała się, że kocham Ciebie i wszystkich Was po siostrze Klementynie, kocham z całego serca, jak moich rodzonych. Wyście to przez długie lata umilali mi po rodzinnemu życie tułacze na czużyni.

Dlatego Ciebie, droga Franiu, przyciskam do kochającego serca z czułością i błogosławieństwem.

Wasz

Józef Bohdan.

Do P. Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

Paryż, 23. kwietnia 1872.

Kochany Bronisławie, w tych dniach po dwakroć zachodziłem do Ciebie, i nie zastałem. Dobry to znak, snać zdrów jesteś i cieszysz się z pierwszych dni wiośnianych. Ja chyrlam niestety ze starości, zagrypiony, jakiś kwaśny; męczą mnie już i przechadzki.

Załączam list Michałowskiego — z propozycyą do Ciebie, — abyś przyjął do Rocznika jego rozprawkę o Celtach. Powiedz, co zrobisz z tym fantem. Rzecz sama z siebie dość nudna — jednakże mogłaby zainteresować kilku filologów krajowych. Chciałem odpisać Michowi, że na ten rok bodaj zapóźno już do Rocznika, a w roku następnym prawdopodobnie i ta publikacya literacka na emigracyi naszej przestanie wychodzić. Zresztą rozprawkę swoją niech przyszle do zbiorów bibliotecznych. Sądzę, że druk Rocznika kończy się. Napomknął mi Kamiński, żeś wydrukował i jego Pamiętniki. Domyślam się, żeś je okrzesał nieco z wybujałości.

Wczoraj miałem wizytę Spasowicza. Był z wielką dla mnie attencyą. Podobał mi się — żartki, mowny, wymowny, zna, zda się, Moskwę na wskróś. Nie dał mi swego adresu, ale obiecał jeszcze parę razy odwiedzić mnie przed wyjazdem.

Czy miałeś listy z Rzymu? lub z kraju? Co nowego słychać o polityce i o literaturze? Może masz „Przegląd Polski" z kwietnia? Ja żyję w ustawicznej trwodze o moją Iwanowską. Nie odbieram od niej listów — a to zły znak.

Do widzenia się, mój Bronisławie.

Twój

J. B. Zaleski.

Do D-ra Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 25. kwietnia 1872 r.

Mój kochany Feliksie — nie odpisałem Ci rychło na Twój list, bo na razie gościłem przy dzieciach w Villepreux, a za po-

wrotem do Paryża, nie mogłem odnaleźć Bronisława i musiałem rzecz Twoją załatwić aż przez korespondencyę. Załączam kartkę Bronisławową, z której wyrozumiesz sam okoliczności tyczące się Twojej rozprawy w Roczniku.

Ja, mój Feliksie, w tym czasie jestem bardzo przygnębiony na umyśle i na sercu; trwożę się i gryzę stanem zdrowia babuni Iwanowskiej. . . . .
Babunia, to już ostatnia krewna moja, co na długoletniem tułactwie kochała mnie i tuliła za matkę, za siostry i za całą Ukrainę.

Mój Michu kochany, spółczuję Twój smutek i zawód z powodu odjazdu Pani Leonii. Znowu oto popłynęły do Gdańska zamki Twoje na lodzie. Pomimo tego nie przestaniemy bodaj nigdy kuć nowych projektów; doprawdy jak suchotniki przenosimy łóżka nasze z kąta w kąt — w nadziei, że tam albo tam będzie nam lepiej. Oj biedniż my marzyciele! Posłuchaj, co mi pisze Domeyko z Chili w onegdajszym liście: „Pocieszająca mi myśl w tym momencie przychodzi etc.“ Powiedzże, serdeczny Michu, czy ten uczony geolog w Antypodach nie jest rodzonińki nasz braciszek? Bolejem i marzym, och! wszyscy o Polsce na całej kuli ziemskiej . . . .

Nająłem w Villepreux cztery pokoiki na 1-szem piętrze, ze ślicznym ogródkiem, a jeśli da Bóg, że Babunia wyzdrowieje, to wezmę i pokoiki na dole dla niej, bo chce bardzo zamieszkać przy nas.

W kartce Bronisława jest wzmianka o broszurze Krzywickiego, której nie zrozumiesz bez objaśnienia. Krzywicki, znajomy nasz, ex-minister za czasów Wielopolskiego, znamienity mąż umysłem swoim i charakterem, wydrukował niedawno w Lipsku broszurę p. t.: Polska i Rossya. Pycha rozumu popchnęła go w ostateczność. Przez logikę chce, aby Polska zlała się z Moskwą w Słowiańszczyźnie. Przeraziła nas ta broszura i tem bardziej, że napisana z ogromnym talentem i dobrą wiarą. Otóż Moskale zakazali ją u nas. Tem lepiej.

W tej chwili odbieram list od Goszczyńskiego z Drezna. Polacy go tam fetowali ogniście. Przysłał mi toasty Kraszewskiego i wiersze na cześć jego i na moją. Dobrze, że Seweryn po biedach emigranckich nieco odżyje. Dziś już jest w Krakowie.

Ściskam Ciebie i pozdrawiam.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 27. kwietnia 1872 r.

Mameiu najukochańsza, dziękuję za kilka słówek. Toż się to uradowałem w sercu, jak ujrzałem najmilszy, własnoręczny nadpis na kopercie. Obecnie stan atmosfery w Paryżu jest wyśmienity. Od kilku dni panuje śliczna pogoda; trochę wietrzno i niekiedy deszczyk rzęsny zaszumi, ale wiośniany, jak to zawżdy bywa przy pękaniu liścia i rozkwitaniu drzew. Na początku maja ustali się na dobre pogoda i w Paryżu i na całej północy, to śmiało będziemy mogli wabić do siebie Południowców, a osobliwie samotniczkę naszą, to jest najdroższą Mamcię. . . . . .
. . . .

Nowinek na razie szczupło w Paryżu, chociaż zawczoraj i wczoraj polując za niemi, wychodziłem w różne strony na wizyty. Nie wiem, czy pisałem Mamci, że był u mnie słynny adwokat petersburski Spasowicz, rodem Polak i dobry Polak . . .

Pisał do mnie Goszczyński z Drezna o fetach i owacyach, jakie mu tam wyprawili rodacy, na insynuacyę Kraszewskiego i innych, przysłał mi wierszowany toast na cześć jego, z chlubną wzmianką o mnie. Odebrałem i list od Domeyki z Chili. Po śmierci żony opanowała go tem większa tęsknota do kraju. . . .

Przypadam do nóżek Mamci i t. d.

Twój własny

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 4. maja 1872.

Najukochańsza Mamciu, bardzo uradowałem się ostatnią Twoją kartką, uradowałem się jej treścią i formą, bo najwyraźniej widno, że Ci raźniej dziś na zdrowiu i na sercu. Ubawiło mnie słówko okcypucik wydumane przez moją poetyczną Mamcię. Otóż za to chylę mój okcypucik aż do kolan Twoich.

Dyzio wyprawił onegdaj do Hyères książeczkę moją: „Duch od stepu“. Są w niej i owe wiersze, o które się Mamcia mnie

zapytywała. Ale że trudno by je było upatrzyć od razu śród fluktów poetyckich w książeczce, wolę tu osobno zacytować:

Boży duch wiekuje w mowie;
Z Boga chleb się zbożem zowie,
Z Boga są bohatyrowie,
Z Boga dzierżą zysk i straty
Ów ubogi, ów bogaty i t. d.

Nowinek, Mamciu, w tym czasie skąpo w Paryżu: pomimo tego, że w tym tygodniu kręciłem się po wizytach więcej, niż zwyczajnie. Pogoda prześliczna i ciepło, że niepodobna wysiedzieć w ciemnych i ciasnych pokoikach. Widuję się często ze Spasowiczem u Gałęzowskich, Mickiewiczów itp. Chodziłem i do niego w odwiedziny, dla poznania się z jego siostrą, panią Hasford, która dobrze zna Kostusię, i niemal wszystkich naszych na Ukrainie. Wczoraj z powodu uroczystości, byłem na zebraniu rodaków w salach Towarzystwa Literackiego. Książę Władysław zaledwie kilka słów przebąknął. bo w polityce europejskiej i w jego dyplomacyi wielka na razie panuje posucha. Za to Bronisław [1]). jak zwykle rejwodził ponad całem Towarzystwem. Wystąpił ze świetnemi sprawozdaniami o pracach członków, a osobliwie z rozumną krytyką rozprawy konkursowej o Unii. Czytania te Bronisława trwały przeszło dwie godziny. Na finał posiedzenia, Olizarowski wygłosił patryotyczny wiersz w cześć Konstytucyi 3-go Maja.

Nabożeństwa wieczorne majowe bardzo nużą i smucą ks. Witkowskiego. Musi biedak śpiewać i kazać do pustych ścian. Istotnie wielka jest obojętność paryskich rodaków. Z mężczyzn okrom Teodora Jełowickiego, Radowickiego i mnie, było 4 lub 5 młodzieńców.

Jutro gromadnie Gałęzowscy, Mickiewicz, Laskowicz i Bronisław. robimy wycieczkę do Villepreux. . . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

[1]) Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 10. maja 1872.

Najukochańsza moja i najmilsza, to nie ja Mamcię, ale Mamcia mnie psuje. W każdej karteczce, Mamcia ta nieoszacowana tyle mi naniże słówek słodkich, pieściwych, niewolących, że doprawdy jak sznurek uriańskich pereł chowam je zazdrośnie pod sercem, aby lubować się niemi, bez obrazy atoli Pana Boga. Tyle, duszko, naszego na ziemi, że kochamy się i na starość, białe już gołąbki. Nie ma w tem reminiscencyi minionej młodości, ale bodaj zapowiedź innej piękniejszej wiosny, ku której oboje lecimy coraz chyżej na wyraj.

Raduję się niewymownie, że Mamcia swój Monument, co kosztował tyle lat przykładnej pracy, nareszcie wykończyła. Ciekawie wyglądać będę ostatnich wstawek i domówienia, krytykę dzieła zostawując ks. Julianowi, jako duchownej osobie. Otóż z powodu skończonego Monumentu domniemywałem się, że Mamcia rada nierada zatrzyma się dłużej w Krakowie, aby ostatecznie ułożyć się z drukarzem i rytownikami. Bronisław [1]) w tej mierze będzie bardzo pomocnym. Najwięcej wszakże z tej podróży cieszy się Dyzio, że będzie mógł służyć Mamci ukochanej i zarazem poznać wielką swoją nieznajomą, to jest ziemię polską, karmicielkę Ojca i Praojców.

Pod względem atmosferycznym, od wielu dni nie wesoło wcale u nas w Paryżu. Powietrze zmienne, na chwilę wybłyśnie słońce, i zaraz potem na dłużej deszcz z gradem i zimowym wiatrem. Od wczoraj plusk nieustanny; zasłociło się bodaj na trzydniówkę. Oczywiście, z tego powodu chłód nieznośny w ciemnych naszych pomieszkaniach paryskich, że dziś musiałem aż zapalić u siebie ogień na kominku.

Nowin prawie nie ma, okrom jednej smutnej. Adam Potocki dogorywa w Krzeszowicach. Biedneż matka jego i żona! Nie stary jeszcze i do tego zdolny, wymowny, czynny przy imienin i majątku, mógł wiele dobrego uczynić dla kraju, tem

---

[1]) Zaleski.

bardziej, że był ambitny i dobrej woli, choć nie zawsze dość przezorny, osobliwie w swojej polityce. Od kilku lat częściej zaczął zapadać na zdrowiu... W zimie, na Ukrainie, rażony został paraliżem. Pomimo tego, przywieziono go na rodzinę. Żal mi bardzo Pani Katarzyny, starej i życzliwej mojej przyjaciółki. . .

. . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poznanie i kształcenie charakteru.

(Ciąg dalszy).

Wszystkiemu temu winna próżność, którą bez przesady nazwać można narodową wadą Polaków i przyczyną słabości naszej woli. Pozory mają u nas zawsze pierwszorzędne znaczenie: wszyscy niemal gonimy za nimi, dbając o nie więcej, niż o rzecz samą.

Nawet gdy idzie o rzecz tak poważną, jak religia lub cnota, pragniemy raczej uchodzić za ludzi cnotliwych i religijnych, niż być nimi w rzeczywistości! I w tym bowiem względzie chcemy imponować drugim. Zamiast przeto starać się o rzecz samą, szukamy przedewszystkiem formy zewnętrznej, poprzestajemy na pozorach cnoty i religii... Dowodem dziesiątki i setki naszych dewotów i dewotek, które — jak mówi przysłowie — „Boga chwalą, a dyabła noszą za kołnierzem.“

Rodzice nie na to posyłają u nas dzieci do szkoły, aby się czegoś nauczyły, lecz aby otrzymały patent, a potem stanowisko i znaczenie w społeczeństwie. To też, gdy chłopcy podrosną i pójdą w świat, starają się znów o mandat lub posadę, nie aby pracować, lecz aby figurować i błyszczeć w sejmie lub parlamencie. Takich paradyerów możnaby u nas naliczyć tysiące.

Bismark powiedział raz o nich złośliwie, że dobrzy są do polowania i salonu, ale nie do pracy w kraju lub parlamencie.

W patryotyzmie naszym więcej jest słów, niż czynów, więcej szumnych frazesów, niż pracy produktywnej i skutecznej.

A owa nieszczęśliwa nasza wada — życie nad stan — czyż nie jest również chęcią błyszczenia i imponowania drugim?...

Kto jest prawdziwie bogaty, uczony, pobożny lub cnotliwy, ten nie dba o pozory majątku, nauki, religii i cnoty, bo nie potrzebuje tych zewnętrznych dekoracyi; kto jednak nie jest ani bogaty, ani uczony, ani pobożny, ani cnotliwy, ten — przy odrobinie bodaj próżności — wszystkie siły wytęża na pozory, aby zewnętrzną okazałością pokryć swą wewnętrzną nicość. Pozorami bogactwa, nauki, religii i cnoty chce on oszukać świat i siebie. Imaginacya zastępuje u niego rozum i staje się przyczyną zupełnie błędnego poglądu na świat i życie. A nie masz niebezpieczniejszego nad nią wroga i większego szkodnika w życiu.

Oderwana od rozumu, wyemancypowana z pod władzy woli wyobraźnia staje się zazwyczaj ślepą, porywczą, kapryśną, namiętną i może doprowadzić do zbrodni i szału, jak się to stało z Neronem. Pod jej wpływem człowiek staje się zmiennym i niestałym, kapryśnym i niespokojnym, przerzuca się z jednej ostateczności w drugą, drobne przykrości i przeszkody uważa za krzyże i prześladowania nadzwyczajne, słowem zbliża się do rozstroju umysłowego, który dziś coraz częściej spotyka się śród inteligencyi.

Pani X. mówi do mnie ze skargą na swe usposobienie:

— „Nie jestem złą, a jednak nieraz wybucham pomimo woli jak żmija, rzucam się jak jędza, wygaduję na męża nawet wobec dzieci, wymyślam wreszcie i wymawiam słowa wprost karczemne! Humor mój zmienia się jak marcowa pogoda, do zmiany sądu lub postanowienia mego wystarczy nieraz drobnostka, czasami uśmiech lub słówko jedno. Nieraz bez przyczyny nawet, bez najmniejszego uzasadnienia zmieniam najrozumniejsze postanowienia, sama nie wiedząc dlaczego. Rolę czynną aktora w życiu zamieniam na bierną widza i słuchacza. Spostrzegam, że coś dzieje się we mnie, choć bezemnie, że chcę czegoś pomimo woli... Obawiam się, że skończy się to kiedyś zupełnym rozstrojem.“

Oto zwierzenia duszy, której brak silnej i rozumnej woli, kierowanej przez wyższą, szlachetniejszą zasadę.

* * *

— „Przesada, przesada w krytykowaniu i wytykaniu wad naszych, które nie muszą być przecież tak straszne, skoro rozwijamy się i postępujemy ciągle naprzód, jak to skonstatował sam autor w jednym z poprzednich rozdziałów. Wszak dawno już stwierdzono u nas powszechną dziś dążność narodu do coraz wyższego udoskonalenia się i postępu, wszak dziś każdy niemal wyżej sięga, niż jego przodkowie, a przecież jest to najlepszy dowód mocy i siły woli w narodzie,“ — oto, co zarzucisz mi może, czytelniku.

Cóż Ci na to odpowiem?...

Nie będę przeczył wyższych aspiracyi i większych, niż dawniej, pretensyi w narodzie, bo to rzecz znana powszechnie. Dziś każdy pnie się w górę, dziś nikt nie chce być na dole, lecz wszyscy sięgają po wyższe szczeble w hierarchii społecznej.

Gdy dawniej szczytem pragnień czeladnika było zostać majstrem i założyć swój warsztat, a włościanina powiększenie swej zagrody bodaj o jeden zagon, — dziś każdy myśli o mandacie, jeżeli nie do Rady, to z pewnością do Sejmu, bo nawet mandat gminny już go nie zadawalnia. Dziś u nas kto ma zdolności na stolarza, chce być architektem, która dziewczyna ma zdolności na pannę służącą, chce być nauczycielką, kto mógłby pracować korzystnie w gminie lub radzie miejskiej, stara się o mandat poselski...

Niezaprzeczenie więc dziś u nas wszyscy pną się w górę, każdy pragnie być czemś lepszem, niż jego przodkowie.

Czy jednak jest to objaw dodatni?

Czy dążeniom tym można przyznać bez zastrzeżeń słuszność i roztropność?

Wszak rozum nam mówi, że wszystko musi być w miarę sił i zdolności naszych, że nie trzeba brać na swe barki zbyt wielkiego ciężaru, że wreszcie pragnąć nie należy rzeczy niemożliwych i niedostępnych dla nas.

Tymczasem dziś w tem powszechnem współzawodnictwie i wspieraniu się na wyżyny, co widzimy? Oto większość nie oblicza się z siłami, nie rachuje się z okolicznościami, lecz pnie się ponad siły i aspiracyami swemi przekracza zupełnie granice, zakreślone przez rozsądek i naturę.

Te chorobliwe dążenia potęgują jeszcze źle zrozumiane hasła, jak oświata, postęp i t. p., które dziś najfałszywiej nieraz bywają tłómaczone. „Kształcić się jak najwyżej“ — oto ulubione

hasło wieku, przeciwko któremu nikt nie zarzucić się nie odważy, a jednak czy można je przyjąć bezwzględnie?

Niech się wszyscy kształcą, niech każdy korzysta z oświaty, czy jednak wszyscy koniecznie mają się uczyć greki i łaciny? Czy ci, co nie mają zdolności, powinni wciskać się do gimnazyum?...

O tem jednak bardzo wielu u nas zapomina. Znałem matkę, która się zapracowywała i zrujnowała formalnie na wyższą edukacyę synów, którzy od urodzenia byli kretynami... Druga pchała syna pomimo braku zdolności do gimnazyum tak, że w końcu dostał przekrwienia mózgu i skończył na pomięszanie zmysłów. Inna jeszcze pragnęła koniecznie, aby syn jej wyszedł jak najwyżej, aż na nadradcę i hofrata. Wyszedł, ale wtedy zaparł się matki i zerwal z nią wszelkie stosunki.

Takich przykładów źle pokierowanych dażności możnaby naliczyć tysiące. Dziś doszło już do tego, że trudno o dobrą sługę, bo każda dziewka chce być panną służącą, trudno o lokaja, bo każden chłopak chce być urzędnikiem.

Zarzucisz mi, czytelniku, że jestem wstecznikiem i chciałbym lud trzymać w niewoli i ciemnocie.

Więc posłuchaj, jakie są skutki tych zbyt wygórowanych aspiracyi.

Oto moralne, umysłowe i fizyczne upośledzenie wszystkich niepowołanych a pretensyonalnych jednostek.

A najprzód fizyczne, — czyli zniszczenie zdrowia. Znałem nauczycielkę ludową, która przez całe seminaryum przeszła o sześciu kartoflach dziennie, jakie ze wsi przysyłała jej matka. Gdy przyszła na posadę, była to ruina fizyczna pomimo młodocianego wieku! Zmarła też wkrótce na suchoty. Tak powszechne już dziś nerwowość i neurastenia u kobiet skąd pochodzi? Oto w pierwszym rzędzie z przedwczesnego przepracowania mózgu, z nadmiernego ślęczenia przy książce, którą niektórzy pomimo słabych zdolności pragną *par force* wbić sobie do głowy. Dalej wynikiem tej pretensyonalnej dażności w górę jest skarłowacenie intelektualne, a nieraz nawet kretynizm, jakiego napróżnobyś szukał u prostego ludu.

Dziś coraz bardziej daje się nam odczuwać brak dobrych, fachowych sił na każdym szczeblu hierarchii społecznej. Z tych bowiem niepowołanych inteligentników, (których inteligencya zasadza się na tem, że czegoś na pamięć się wyuczą), nie mogą

być dobrzy pracownicy. Pełno przeto dziś mamy fuszerów, miernot pod względem umysłowym i fizycznym, które są tylko zaporą prawdziwego postępu i rozwoju społeczeństwa, nie umiejąc wykonać należycie tego, do czego się zobowiązali. Wszystko, cokolwiek czynią, robią oni źle, niedbale i niedokładnie. I nic dziwnego, bo ta sama dziewczyna, która mogłaby być dobrą kucharką lub panną służącą, jest tylko mierną nauczycielką, a ta która mogłaby być dobrą pomywaczką, jest tylko kiepską kucharką lub panną służącą. — To samo stosuje się do wyższych stanowisk w świecie.

Wreszcie wynikiem tych przesadnych pretensyi i dążeń jest *upadek moralny*. Kto wyżej sięga, ten większe też mieć musi wymagania i potrzeby, bo odpowiednio do tych wysokich aspiracyi musi się ubrać i zamieszkać. Jakoż skala pragnień i wymagań ludzkich przybrała dziś kolosalne rozmiary. Gdyby ojcowie nasi powstali z grobów i zobaczyli, czego my dziś potrzebujemy do zwykłych zabaw i biesiad naszych, to pomyśleliby, że chyba Krezusowe skarby spadły na nas z nieba.

Tymczasem my w rzeczywistości mniej mamy, niż oni ongiś posiali, cóż więc z tego wynika?

Oto demoralizacya, bo ta pretensyonalna dziewczyna lub ten rozbawiony chłopiec, nie mogąc zaspokoić swych pragnień w sposób legalny, wchodzą na bezdroża złego. On — sięga do cudzej kieszeni, lub pożycza pieniędzy z kasy swego pryncypała, aby ich nigdy nie oddać: ona sprzedaje swą cnotę, aby stroić się w atłasy i złoto. I oto dotarliśmy do źródła tej tak powszechnej już dziś gangreny społecznej.

Przyczyną — nieuzasadnione pretensye, wygórowane pragnienia i aspiracye społeczne, które wprowadzają nas na bezdroża grzechu i zepsucia. Błąd w tem, że zamiast starać się o to, aby być coraz lepszymi i cnotliwszymi na świecie, staramy się zazwyczaj o to, aby być czemś wyższem w hierarchii społecznej, aby zająć jakieś wybitniejsze stanowisko w świecie.

Że chcemy żyć dla przyjemności i znaczenia, zamiast pragnąć żyć dla służby i obowiązków swoich, że szukamy karyery i znaczenia, zamiast szukać dobra publicznego i polepszenia sprawy maluczkich w kraju, słowem, że gdy idzie o cnotę i prawdę, chwytamy cień zamiast rzeczywistości, pozór zamiast rzeczy samej.

* * *

Jakież więc ostatecznie są braki naszej woli? Jakie niedostatki i wady naszych pragnień?

Oto pragnienia nasze nie zawsze są rozumne, najczęściej skłócone są z rozumem i poróżnione z rozsądkiem, gdy tymczasem przyroda cała woła do nas ciągle:

„Ante omnia estote rationabiles!

Przedewszystkiem bądźcie rozumni!"

Wola nasza nie jest dość poznajomiona z przeszłością narodu i dobrem ogółu, a tem samem nie jest należycie rozmiłowaną w służbie publicznej; dalej nie jest dostatecznie zaprawioną do pracy, posłuszeństwa i karności, chodząc zazwyczaj samopas w życiu; wreszcie jest pełna próżności i samolubstwa. Oto źródło nędzy i niedoli naszej, oto przyczyna słabości i nieudolności Polaków!...

Charakter — to przedewszystkiem wola wykształcona, wola rozmiłowana w dobru publicznem, zaprawiona do służby i pracy dla ogółu, wyzuta z wszelkiej próżności i samolubstwa.

Kto z nas nie odrodzi się przeto z tego samolubstwa, pychy, próżności, prywaty, niekarności i lenistwa, ten nie może posiadać charakteru, bo brak mu sprężyn moralnych, które, jak widzieliśmy, stanowią jego podstawę.

Żyje on raczej instynktem, niż rozumem, a wiemy już, co to znaczy i do czego prowadzi człowieka.

W ten sposób należy rozumieć słowa Chrystusa Pana do Nikodema:

— *„Jeśli się kto nie odrodzi z wody a z ducha świętego, nie może wnijść do Królestwa Bożego.*

Co się narodziło z ciała, ciało jest; a co się narodziło z Ducha, duch jest." [1])

Do tego odrodzenia duchowego zmierzać więc powinny wszystkie starania i wysiłki nasze, a pragnienia nasze do tego przedewszystkiem skierowane być winny, abyśmy chodzili w prawdzie i sprawiedliwości, czyli abyśmy przestrzegali w życiu zasad rozumu i moralności przyrodzonej.

Jak to bowiem słusznie powiedział św. Jan:

„Bóg jest światłością, a żadnej ciemności w Nim nie masz.

„Jeślibyśmy więc rzekli, że towarzystwo z Nim mamy, a w ciemności chodzimy: kłamiemy, a prawdy nie czynimy." [2])

---

[1]) Jan św. Roz. III. 5—6.

[2]) List I-szy św. Jana. Roz. I. v. 5—6.

15. Charakter a uczucie.

Na wzmiankę o uczuciu wzruszysz może ramionami, łaskawy czytelniku, wyrażając tem swe zdziwienie, że w materyi tak poważnej, jak poznanie i kształcenie charakteru, zamierzamy traktować o rzeczy tak błahej i podrzędnej, jak uczucie.

— „Uczucie — powiesz może — to słabostka, to coś niewieściego i dziecięcego: nie licuje ono bynajmniej ze stanowiskiem męża-bohatera, jakim powinien być człowiek czynu i charakteru, pracujący i walczący dla zrealizowania swego ideału. Musi on być wyższym nad takie drobnostki, które przystają raczej kobietom. Zresztą wszak sam autor zarzucił w poprzednich rozdziałach, że miękkość i uczuciowość, to główne wady charakteru naszego, że wedle trafnego wyrażenia Brandesa „przewaga pierwiastku niewieściego nad męskim, polskiemu charakterowi narodowemu nadaje szczególne piętno.“ [1]) Pocóż więc rozwodzić się i roztkliwiać nad tem, co raczej potępić i odrzucić należy?...“

Argumentując w ten sposób, stajemy na błędnem i fałszywem stanowisku, zamykając sobie poprostu furtkę i wchodząc w położenie bez wyjścia. Aby bowiem poznać charakter człowieka, przedewszystkiem poznać i zgłębić należy jego uczucia, jako najgłówniejsze sprężyny i najważniejszy motor czynów ludzkich.

Ludzie o niewyrobionej woli i niewykształconym rozumie, których jest najwięcej na świecie, kierują się przeważnie uczuciem, jak dzieci instynktem. Uczucia przeto — po instynkcie — są najpowszechniejszym i najpotężniejszym, a zarazem najpierwszym czynnikiem w życiu ludzkości. Słusznie powiada prof. Thomas, że „jednym z zasadniczych pierwiastków charakteru jest sposób, w jaki się czuje, kocha lub nienawidzi, gdyż od tego zależy siła albo słabość woli.“ [2])

A Gustaw Le Bon dodaje, że „dla absolutnej większości umysłów, motywem przyjęcia lub odrzucenia pewnej idei mogą być tylko pobudki uczuciowe, nie zaś rozumowe.“ [3])

Dzisiejsza nasza bezradność wobec namiętności i zwyrodnienia charakterów źródło swe ma przedewszystkiem w zapoznaniu i lekceważeniu uczuć. Stan ich w wysokim stopniu oddziaływa na

---

[1]) Brandes. Polska. str. 34.

[2]) „Kształcenie uczuć“, tłom. Stojowskiego, str. 16.

[3]) „Psychologia rozwoju narodów“ w tłom. Ochorowicza, str. 126.

życie duchowe, a więc na rozum i wolę człowieka, na czyny zaś jego zawsze ma wpływ wyjątkowy, bo bezpośredni.

Stwierdza to historya, która nas poucza, że na wielkie czyny ci tylko zdobyć się potrafią, którzy umieją czuć i kochać gorąco. Stwierdza to dalej sztuka i poezya. której nie masz tam, gdzie nie ma prawdziwego uczucia. Wielcy pisarze, jak Mickiewicz naprzykład. dlatego właśnie kształcą nasz charakter, że wpływają potężnie na nasze uczucia, kierując je do ideałów szczytnych.

Najbardziej jednak przekonywa nas o tem psychologia, która, wykrywając istotę uczuć, daje nam dopiero właściwe pojęcie o ich doniosłem znaczeniu i wpływie na charakter. Otóż najprzód pamiętać należy, że choć nie można myśleć ani pragnąć bez uczuć, a przynajmniej wyobrażeń pewnych, — można jednak doskonale doznawać wrażeń bez współudziału rozumu i woli. Zwierzęta czują, choć nie mają rozumu ani woli, czucie bowiem istnieć może bez pomocy tych władz duchowych. — Oto pierwsza charakterystyczna cecha uczucia!

Dalej zasadniczą różnicą między myśleniem i chceniem a czuciem jest to, że myśl i wola z natury swojej są czynne, podczas gdy czucie z natury rzeczy jest czemś biernem. Czuć — to cierpieć, „*pati*“ — jak mówili Rzymianie, odbierać wrażenia od czegoś lub od kogoś.

Wreszcie do natury uczuć należy to jeszcze, że są nietrwałe, znikome, przemijające. gdyż jedno usuwa i niszczy drugie, a nawet jedno i to samo uczucie, gdy trwa dłużej. słabnie w końcu i znika. Patrząc dłużej na jeden i ten sam przedmiot, po pewnym czasie przestajemy go widzieć, zupełnie tak samo jak młynarz, słysząc ciągle klekot swego młyna, przestaje w końcu go słyszeć.

Widzimy stąd, że uczucie to nie tylko coś biernego i niezależnego od rozumu i woli na wzór instynktu, ale jednocześnie coś znikomego, nietrwałego, przemijającego, jak widzenie.

Ma ono jednak jeden przymiot kapitalny, który czyni z niego potęgę, a w dziedzinie charakteru przyznaje mu znaczenie pierwszorzędne. Chcę mówić o tem. że żadne uczucie nie ginie. ale pozostawia w nas ślad po sobie, czyli wyobrażenie, za pomocą którego dąży ono potem do ponownego zjawienia się, czyli zapanowania nad nami bez udziału rozumu i woli naszej.

Jest to rzecz arcy-ciekawa i arcy-ważna i dlatego zastanowimy się nad tem nieco dłużej. Każde uczucie, czyli odczucie czegoś z zewnątrz związane jest z pewnym ruchem wewnętrznym

nerwów, które rozgałęzione są po całem ciele, i dlatego każde uczucie pozostawia po sobie ślad w całym organizmie, choć przedewszystkiem i nadewszystko w danym organie lub narzędzie ciała. Ślad ten nazywamy wyobrażeniem *(imago)*, które, właściwie mówiąc, nie jest niczem innem, jak tylko osłabionem wrażeniem. H. Spencer nie robi zasadniczej różnicy między wrażeniem, a wyobrażeniem, nazywając pierwsze stanem mocnym, drugie zaś stanem słabym jednego i tego samego odczucia czegoś z zewnątrz lub wewnątrz nas.

Wyobrażenia te, których siedliskiem jest mózg i nerwy, mają wpływ bezpośredni na muskuły i to tak, że wyobrażenia przyjemne (minionej zabawy, roskoszy, uciechy), pobudzają nas do czynu w tym samym kierunku, nieprzyjemne zaś (np. grozy, kary, strachu) paraliżują muskuły i obezwładniają niejako człowieka. Któż nie zna wpływu fantastycznych opisów i bajek na dzieci, a nieraz i na dorosłe osoby?... A nawet wyższe i potężniejsze uczucia, jak rozpacz lub nadzieja np., czemże są wywołane, jeżeli nie nurtującemi w nas wyobrażeniami kary lub nagrody wiecznej? Od uczuć tych do czynu krok jeden tylko, i oto widzimy, jak uczucia potężnie, wszechwładnie niemal działają na nas. Pod wpływem ich rodzą się pewne mimowolne dążenia, czyli skłonności, z których w końcu powstają złe lub dobre przyzwyczajenia, to jest cnoty i nałogi ludzkie.

Pragnienie, które w poprzednich rozdziałach nazwaliśmy podstawą i zapoczątkowaniem czynu, to tylko dążenia do zrealizowania się jakiegoś wyobrażenia, które przez czucie wcisnęło się do mózgu i opanowało umysł i wolę naszą. Oto, w czem leży potęga uczuć i wyobrażeń!

Kto nie potrafi opanować swej wyobraźni i swego uczucia, ten napróżno silić się będzie na opanowanie myśli i czynów swoich. Mamy tu bowiem do czynienia z potęgą zmysłową, ślepą, bezwględną na wzór instynktu. Nic tak łatwo nie opanowywa naszej woli, jak uczucie, chyba instynkt tylko. Pod tym względem stoją one na równi — równie są niebezpieczne dla charakteru i niezależności człowieka.

Tak samo przeto jak należy opanować i okiełznać swe instynkty, gdyż inaczej wyrodzą się one w namiętności, tak samo czuwać należy i pracować nad ujarzmieniem swych uczuć, aby nie zwyrodniały i nie zamieniły się w nałogi.

Zapomnieli o tem, niestety, dzisiejsi pedagogowie i wychowawcy. Zajęci wyłącznie niemal kształceniem rozumu, zaniedbali

oni pielęgnowanie i rozwój uczuć, uważając je za coś podrzędnego i małoznaczącego w życiu człowieka.

Skutkiem tego nastąpiło zwyrodnienie uczuć w narodach, za którem poszedł upadek i zanik charakterów. Kto, idąc za wzorem materyalistów i ateuszów dzisiejszych, odrzucił najwznioślejsze i najszczytniejsze uczucia czci, uwielbienia i miłości dla swego Stwórcy, dla tego nie masz już szczytnych i szlachetnych uczuć. Jedynym bowiem przedmiotem czci i kultu staje się wtedy sam człowiek, a w cóż zamienią się wobec tego jego uczucia?...

W pychę i samolubstwo, w próżność i zmysłowość, w lekceważenie a nawet pogardę bliźniego! A cóż stanie się wtedy z charakterem człowieka?...

Rozpłynie się on w żądzach i namiętnościach niskich, zamieniając człowieka w dzikie i nieokiełznane zwierzę, które nie zna nic wyższe nad swe zmysłowe potrzeby i żądze.

Nikt nie jest w stanie opisać krzywd i szkód, jakie wynikają stąd nie tylko dla poszczególnych jednostek, ale dla całej ludzkości. Największe talenta, najpiękniejsze zdolności, ba, nawet geniusz nieraz idzie wtedy na marne, siejąc naokoło siebie śmierć i zgniliznę moralną. W cóż obrócił się geniusz Bismarka, gdy zabrakło mu najprostszych uczuć sprawiedliwości, uczciwości i miłości bliźniego?... Jakie rezultaty wydała tak wysoka dziś kultura europejska, gdziekolwiek rozbrat wzięła z uczuciem i miłością chrześcijańską?... Najlepszy to dowód, czem jest człowiek bez uczucia pomimo wysokiej nawet kultury.

Na szczęście serce zaczyna dziś odzyskiwać swe prawa i znaczenie w świecie, czego najlepszym dowodem jest równouprawnienie kobiet i przywrócenie im należnego stanowiska w społeczeństwie.

O tych prawach, a jednocześnie własnościach i potrzebach serca, pomówić wypada nieco obszerniej na tem miejscu.

* * *

Co rozumiemy przez uczucie?

Przykry lub przyjemny stan duszy, wywołany odpowiedniem lub nieodpowiedniem podrażnieniem. Stany te nazywamy uczuciem, bo w nich dusza sama siebie odczuwa i poznaje. Tak pojęte uczucie przypuszcza oczywiście świadomość, bez której nie

masz odczucia, czyli „wrażenia uczuciowego”, jak mówią fizyologowie.

Organem czucia jest mózg wraz z całym systemem nerwowym, siedliskiem uczuć w potocznej mowie nazywamy jednak serce, bo ono najlepiej potrafi mierzyć i oceniać uczucia. Cały bowiem nasz system nerwowy za pomocą dwóch nerwów połączony jest z workiem sercowym. Nerwy te, do których zbiegają wrażenia z całego ciała, przyspieszają lub też zwalniają bieg serca, robiąc je w ten sposób termometrem naszych uczuć.

Oto dlaczego serca, nie mające samo w sobie nic wspólnego z uczuciem, staje się najdokładniejszym sprawozdawcą naszych wrażeń, okazując na zewnątrz drganie naszych nerwów. Zdarza się nawet czasem, że serce, nie mogąc znieść nadmiaru uczuć smutku lub radości, pęka lub bić przestaje.

Na tej to podstawie wszystko, co dotyczy uczucia, odnosimy zazwyczaj do serca, mówiąc, że przeznaczeniem serca jest czuć, jak przeznaczeniem oka jest widzieć, ucha — słyszeć, a głowy myśleć. Jest ono ukrytą sprężyną uczuć, pragnień i czynów ludzkich, a z chwilą, gdy bić przestaje, ustaje nie tylko czucie, ale i życie człowieka.

Wpływ i znaczenie uczucia na życie ludzkie dawno już oceniono. Ożywia ono całe nasze jestestwo i potęguje wszystkie nasze władze. Zaostrza pamięć, pobudza uwagę, potęguje twórczość, zbogaca wyobraźnię, wzmacnia i rozwija inteligencyę. Uszlachetnia ono przeto i ożywia całego człowieka, darząc go życiem właściwem i jedynie odpowiadającem jego przeznaczeniu.

Dzięki uczuciu, w oczach naszych martwe nawet przedmioty poczynają się ożywiać, żywe zaś nabierają dla nas podwójną wartość. Natomiast gdy zabraknie uczucia, nawet żywe istoty wydają się nam martwemi, świat cały przestaje nas interesować.

— „Wobec najpiękniejszego widowiska — mówi p. F. Thomas [1]) — jeżeli nie jestem wzruszony, patrzę — nie widząc, słyszę — nie słysząc, wszystko wydaje mi się nieokreślonem i niewyraźnem; ale jak tylko wzruszenie w grę wejdzie, zaraz wszystko się zmienia, najmniejszy szczegół zwraca moją uwagę, najmniejszy odcień uwydatnia się, najmniejszy szmer dochodzi do mnie.”

Ale uczucie nie tylko pobudza i zaostrza nasz rozum, ono nadaje mu kierunek, jaki samo obierze. Nie ono za rozumem, ale rozum zazwyczaj za niem podąża.

[1]) „Kształcenie uczuć“, str. 44.

— „Nikt nie potrafi lepiej niż uczucie, — pisze tenże autor [1]) — oszukać inteligencyę, narzucić jej swe upodobania, zmusić ją do użyczenia mu sankcyi, — słowem zaślepić ją tak, iż sama nie pozna się na tem.“

„Wpływ jego na wolę nie mniej jest widoczny, a w walce, jaka się między niemi rozgrywa, zwycięża zazwyczaj uczucie. Działanie bowiem jego jest nadzwyczaj przenikające, trwałe i uporczywe...

„Nic ważnego nie można przedsięwziąć bez niego; jest ono najsilniejszą sprężyną naszej działalności tak, że *od niego głównie zależy nasz charakter.*“

Charakter bowiem polega przedewszystkiem na dobrowolnem poddaniu woli naszej pod panowanie powinności i obowiązków naszych, do czego nic prócz miłości, czyli uczucia nie może skłonić człowieka.

To też wedle Milla, kształcenie i ćwiczenie uczuć jest najlepszym sprzymierzeńcem naszym w walce z namiętnościami oraz najlepszym środkiem do osiągnięcia panowania nad sobą. „Historya — mówi on [2]) — i codzienne doświadczenie poucza nas, że najbardziej namiętne charaktery najwięcej okazują stałości i ścisłości w poczuciu swych obowiązków, skoro uczucia ich we właściwym poprowadzimy kierunku.“

Słusznie przeto pisał Mickiewicz:

„Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
„Niż mędrca szkiełko i oko.
. . . .
„Miej serce i patrzaj w serce.“

* * *

Poznawszy wpływ i znaczenie uczucia na usposobienie i czyny ludzkie, przejdźmy teraz do podziału naszych uczuć.

W człowieku istnieją potrójne uczucia: fizyczne, psychiczne i umysłowe.

---

[1]) Tamże, pag. 45.

[2]) „Assujettissement des femmes“, pag. 150.

Pierwsze odpowiadają naturalnym potrzebom człowieka, jak pokarm, napój, ciepło, ruch i t. p. Są to uczucia fizyczne zimna, głodu, pragnienia i t. p. zupełnie tak samo, jak istnieje w nas ból fizyczny.

Drugie odpowiadają wrażeniom zmysłowym wzroku, słuchu, dotyku i t. p. i tak samo jak pierwsze dają początek popędom do usuwania przykrych, a przysparzania sobie przyjemnych wrażeń. Tu należą skłonności *osobiste*, (jak miłość własna, popęd samozachowawczy i t. p.), *familijne* (do zakładania gniazda rodzinnego i miłowania członków rodziny) i *społeczne* czyli *towarzyskie* (jak przyjaźń, sympatya i t. p.), popychające nas do łączenia się i wspólnej obrony.

Trzecie odpowiadają czynnościom rozumu i woli. Są to pewne stany duszy, wynikające z poznania jakiejś prawdy, lub dokonania jakiegoś czynu. Nic bowiem nie jest tak miłem, jak radość z powodu odkrycia jakiejś prawdy, lub wyświadczenie komus jakiej usługi. Dają one początek przeróżnym pociągom, czyli popędom, jak naprzykład pociąg do poznawania, czyli ciekawość, do piękna, do emocyi i wzruszeń, do podziwu i zachwytu, do zapału i gorliwości, do poświęcenia się i ofiary, wreszcie do czci i uwielbienia dla Stwórcy.

Popęd do dobrego, do miłości i pracy dla bliźnich, który tak ważną rolę odgrywa w charakterze człowieka, jest również tylko wynikiem uczuć intelektualnych. Poznawszy ludzkość całą, człowiek pomimo woli poczuwa się do łączności z nią. Poczyna on kochać wszystkich ludzi, a stąd ma skłonność do czynienia im dobrze i niesienia pomocy. Tak powstaje najszlachetniejsze uczucie, jakiem jest litość i współczucie, oraz pragnienie zmniejszenia cierpień i powiększenia dobra na świecie. Tak wyrabia się w nas sprawiedliwość i ta prosta zasada: „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło“ — z pogwałcenia której płynie najwięcej łez na świecie.

W ten sposób powstają w nas również skłonności religijne, czyli popęd do kochania, czczenia, słuchania i liczenia się ze swym Stwórcą. Człowiek myślący świat ten odnosi do Najwyższej Istoty, która rozumem swoim świat ten obmyśliła, potęgą swoją go stworzyła, a dobrocią swoją obdarowała nas nim. Rozum nasz mówi nam nadto o zależności naszej od Tej Istoty Najwyższej, serce odczuwa to wszystko i oto mamy najszlachetniejsze pod słońcem uczucia wdzięczności i uwielbienia dla Boga, które dają początek najidealniejszym popędom poświęcenia się i ofiary.

Uczucie to jest fundamentem wszelkiej cnoty, podstawą prawdziwego charakteru i koniecznym warunkiem wewnętrznego życia duszy. Żadne bowiem inne uczucie, choćby najszczytniejsze, choćby to było nawet uczucie miłości i przywiązania do Ojczyzny, nie jest w stanie pokonać instynktu samozachowawczego, gdy ten stanie w poprzek rozumowi i opanuje naszą wolę.

Ks. dr. Jan Ciemniewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA SYSTEMY SOCYOLOGICZNE.

STUDYUM KRYTYCZNE.

(Dokończenie).

System więc Coste'a oznacza niejako dekadencyę poglądów socyologii „objektywnej", oznacza wyczerpywanie się jej pomysłów i jej żywotności i dostarcza tem samem jednego z więcej dowodów na to, iż naturalistyczne traktowanie socyologii nie może prowadzić do żadnych głębszych i trwalszych zdobyczy tej nauki.

Na innem zupełnie stanowisku stoi pogląd socyologiczny drugiego z socyologów, którym zajmuję się w niniejszej pracy, G. Palante'a. Jest to partyzant socyologii psychologicznej.

Za daleko doprowadziłoby mię, gdybym w ramach niniejszego drobnego krytycznego szkicu chciał przedstawiać choćby nieco szczegółowiej zasadnicze tezy kierunku psychologicznego socyologii. Ograniczę się więc tu jedynie do najpotrzebniejszych objaśnień treści ogólnej.

Socyologia psychologiczna w swej najczystszej formie, w jakiej odnajdujemy ją pomiędzy nowoczesnymi socyologami, jak Simmel, Kistiakowski, Giner, De Rossi, Sigheli, Le Bon etc. posługuje się w objaśnieniu zjawisk społecznych analogiami z psychologii indywidualnej zaczerpniętymi. Dopatruje się ona mianowicie w społeczeństwie mniej lub więcej wyraźnie jakiegoś rodzaju wyższej istoty duchowej, która jakkolwiek nie

istnieje zewnątrz jedynostek, składających społeczeństwo jako jakaś realna, odrębna dusza społeczna, to przynajmniej działa na zewnątrz za pośrednictwem owych jedynostek a raczej przez nie, tak jakby była rzeczywiście czemś zupełnie odrębnem od nich.

Do takich analogii, czerpanych z psychologii indywidualnej, doszła socyologia psychologiczna po następującej drodze:

Zwróciła ona przedewszystkiem w badaniach swoich uwagę na jedną znamienną stronę społeczeństwa, a mianowicie na jego stronę wewnętrzną, ujawniającą się w wspólnościach duchowych, które łączą jedynostki, współżyjące ze sobą.

Gdziekolwiek i kiedykolwiek zajmiemy się badaniem pewnego społeczeństwa, zawsze przekonamy się, że jedynostki je składające, posiadają do pewnego stopnia wspólne wyobrażenia, wspólne uczucia i dążenia. Te wspólnoty duchowe składają się w rzeczywistości na rodzaj jakiejś niby świadomości zbiorowej, która istnieje we wszystkich jednostkach, stanowiących bądź całe społeczeństwo, bądź przynajmniej pewne ciaśniejsze koło społeczne i zarazem wszystkie je zamyka w sobie.

Zatopienie się w tej stronie życia społecznego, którą socyologia psychologiczna wzięła za szczególny przedmiot swych studyów, doprowadziło zwolna zbyt jednostronnych badaczy tego kierunku do popadnięcia w owe nieuprawnione analogie, zaczerpnięte z psychologii indywidualnej.

Zdawało się im bowiem, że mogą dopatrzeć się w owej zbiorowej świadomości podobnych procesów, jakie nastręcza obserwacya świadomości indywidualnych.

Ze stanów świadomości indywidualnej wyłania się niejako pewna, przez różne kierunki psychologii różnie określana i pojmywana, jedność, znana nam jako jaźń względnie samowiedza indywidualna.

Otóż skrajni, — że tak powiemy — socyologowie-psychologowie sądzą, że obserwacya „świadomości zbiorowej“ pozwala im dostrzedz wyłaniania się ze stanów zbiorowych świadomościowych również pewnej jedności, acz zbiorowej natury, reprezentującej niejako rodzaj jaźni a nawet samowiedzy grupowej, która ujawnia się w każdej jednostce, grupę składającą.

Jedności tej zbiorowej najnowsza socyologia psychologiczna nie pojmuje wprawdzie jako jakieś „ja“ zbiorowe, któreby istniało substancyalnie obok „ja“ indywidualnego każdej jedno-

stki. Natomiast żyje jeszcze w niej ciągle tendencya do przyjmowania jako pierwiastka działającego, aktywnego, jako duchowej jedności zbiorowej grupy, osobnego popędu zachowawczego grupy, pół świadomego swych celów, który ma przemawiać z każdej jednostki niezależnie od jej własnego indywidualnego popędu zachowawczego.

Z podobnego stanowiska w socyologii, z podobnego pojmywania społeczeństwa, jako organizmu psychicznego wyższego rzędu, zbiorowej świadomości, obdarzonej osobnym popędem samozachowawczym wychodzi i Palante.

Społeczeństwo jest dla niego wielością ludzi, którzy mają wspólne idee i identyczne instynkta, względnie żyją w jednakich warunkach, jednakie mają potrzeby (str. 25).

W pojmywaniu więc społeczeństwa, kładzie on główny nacisk na znaną nam już świadomość zbiorową, złożoną właśnie z takich wspólnych idei, dążeń, potrzeb i w całem też swem dziele, mówiąc o społeczeństwie, oznacza je mianem świadomości zbiorowej.

Zadaniem też socyologii, ma być według niego jedynie wszechstronne badanie stosunku wzajemnego, w jakim świadomość zbiorowa stoi do indywidualnej i na odwrót (str. 4). socyologia jest też dla niego identyczną z psychologią społeczną.

To też według niego, socyologia winna się trzymać tej samej drogi w swych badaniach, co psychologia indywidualna. Nie powinna ona szukać za żadnymi metodami naukowymi, lecz posługiwać się raczej genialną intuicyą psychologiczną, jakiej używa psycholog-romansopisarz lub moralista społeczny (str. 8): zdanie, na które z pewnością nie zgodzi się żaden rzeczywisty socyolog, i które z góry zachwiewa zaufanie do naukowości dzieła Palante'a.

Społeczeństwo, pojęte jako wyższego rzędu organizm psychiczny, jest też i dla Palante'a obdarzone osobnem, jemu tylko właściwym popędem samozachowawczym. Dąży ono jedynie i wyłącznie do utrzymania się przy życiu i do zdobycia dla siebie jak najlepszej egzystencyi, nie oglądając się wcale na środki, jakich do tego używa. Idąc więc za głosem swego popędu samozachowawczego, społeczeństwo jest istotą zbiorową duchową, na wskróś anormalną czyli nieetyczną. Świadczy o tem obserwacya przejawów popędu samozachowawczego, które przedstawiają się jako solidarność społeczna, ekskluzywność społeczna, społeczny dogmatyzm, tyrania społeczna, instytucya społecznych kłamstw konwencyonalnych i formalizmu społecznego.

Solidarność społeczna, to nic innego, jak objaw szczątkowy ducha niewolniczego, pielęgnowany troskliwie przez grupę w jej własnym interesie, krępujący każdy śmielszy polot indywidualnej oryginalności i inicyatywy, to duch bezmyślnego g r e g a r y z m u, który lubuje się w wychowywaniu jednostek niesamodzielnych bez własnego zdania, wiecznie trzymających się formułek, ukutych przez ogół. Z tego ducha wynika inna tendencya, dążąca do eksterminacyi, choćby brutalnym gwałtem wszelkiej jednostki, któraby śmiała opierać się tyranii opinii publicznej grupy. Z drugiej strony dołącza się dogmatyzm i absolutyzm społeczny, które każą jednostce wierzyć, że to jest jedynie sprawiedliwem i słusznem, co służy pożytkowi grupy, które z interesu grupy robią kodeks moralności indywidualnej, które każą jednostce w jego społeczeństwie lub ściślejszem kole społecznem, do którego należy, widzieć ideał wszelkiej doskonałości, choćby ono najmniej było wartem moralnie. A wszystkie te przejawy amoralnego, samozachowawczego popędu społecznego uwieńcza szereg kłamstw konwencyonalnych i konwencyonalnych reguł, których społeczeństwo używa za osłonki lub środki dla swego brutalnego i bezwzględnego egoizmu grupowego.

Nie ma, jednem słowem, nic pod słońcem mniej moralnego, według Palante'a — jak społeczeństwo — a na udowodnienie tej tezy służy szereg cytat... z Nitschego i Nordaua, w których objęciach kończy swoją wędrówkę myśli najmłodszy płód socyologii psychologicznej.

Jeżeli społeczeństwo jest tak bezwzględnym tyranem-egoistą, jeźli między jednostką a niem panuje wieczny antagonizm, jeźli jednostka reprezentuje w porównaniu do społeczeństwa element etyczny i idealistyczny, natedy wypadałoby sądzić, iż jednostka żadną miarą nie powinnaby stać się sprężyną rozwoju społecznego, podejmywać pracę żmudną dla ewolucyi życia istoty tak dyametralnie jej przeciwnej, jak społeczeństwo.

Ale dzieło Palante'a, który z góry zastrzegł się, iż wszelka metoda i logika w badaniach socyologicznych są zbyteczne, jest też dziełem pełnem nie do przywidzenia niespodzianek dla umysłu wdrożonego do ścisłego myślenia.

Według Palante'a właśnie nie kto inny, jak antagonista społeczeństwa jednostka, staje się sprężyną jedyną i wyłączną jego rozwoju!

Ale przedewszystkiem w czem może polegać ów rozwój, jaką może być jego natura?

Palante zastrzega się jak najusilniej przeciw wszelkiej teleologii w traktowaniu problemu rozwoju społecznego. Nie powinniśmy szukać w nim żadnego celu, pozbyć się myśli, iż rozwój społeczny mieć może jakikolwiek sens, przeciwnie musimy starać się go określić zupełnie naturalistycznie, na wzór jakiegoś prawa natury, wtedy natrafimy prawdę.

Wiemy, iż jednostka ma być jedyną sprężyną rozwoju. Jednostka zaś, jak to wykazał Tarde, posiada dwie typowe właściwości. Jest elementem twórczym i wynalazczym i jest skłonną do naśladowania innych wszędzie i zawsze.

Te dwie siły, którymi obdarzoną jest jednostka, decydują o kierunku, w którym idzie rozwój społeczny, pozbawiony wszelkiej teleologii. Dzięki naśladownictwu, spólnoty duchowe rozszerzają się na coraz szersze kręgi społeczne, ogarniają coraz większe masy. Rozszerzą się one w końcu na całą ludzkość.

To jest jeden zasadniczy kierunek postępu. Ale jednostka jest twórczą, samodzielną. Tyrania społeczna, wymagająca od niej ciągłego poświęcania siebie dla interesów społecznych, dolega jej. Będzie ona więc starać się wyłamywać od tej tyranii, przetwarzać tak stosunki społeczne, aby coraz mniej ją krępowały. Druga to linia wytyczna postępu, po którym idąc, dojść będziemy musieli do stanu życia społecznego, w którem jednostka wszechwładna stanie się jedyną wyrocznią o złem i dobrem, jedyną siłą, rządzącą światem, celem, w którego służbę pójdzie społeczeństwo. „*De plus en plus l'individu rendera les entraves devenues plus mobiles, dont on le garrottait autrefois. De plus en plus l'individu se mettera a sa vraie place, au centre des choses, par une revolution analogue à celle, que Copernic fit en astronomie. De plus en plus l'individu se posera comme ce qu' il est en effet, la seule source de l'énergie, la seule mesure de l'idéal*" (str. 142).

Dochodzimy do paradoksu!

Rozwój społeczny ma polegać w najwyższem rozluźnieniu życia społecznego, w zniszczeniu wszelkiej moralności, wszelkich więzów życia społecznego, krępujących egoizm indywidualny, w wytworzeniu stanu iście Nitchowskiego anarchizmu idywidualnego! I inaczej być też nie może! Poglądy socyologiczne Palante'a, wychodzące z fałszywych premis i nie oglądające się na ścisłość rozumowania, muszą dochodzić do paradoksalnych wyników. Fałszywem jest zasadniczego znaczenia pojmywanie społeczeństwa, jako jakiegoś odrębnego organizmu duchowego, które spotykamy u Palante'a. Jest to bowiem nic innego, jak nieupra-

wniona hypostaza społeczeństwa, do której dochodzi się, posługując się w socyologii analogiami, zaczerpniętymi z psychologii indywidualnej.

Niezgodnem dalej z rzeczywistością, bo również na takich fałszywych analogiach opartem, jest obdarzenie takiej urojonej istoty społeczeństwa jakimś osobnym popędem samozachowawczym, który czyni z niej bezwzględnego egoistę, dążącego bez oglądania się na środki jedynie i wyłącznie do swego pożytku. Nie można też na takich podstawach opierać tezy wiecznego antagonizmu między jednostką a społeczeństwem, jako między elementem pełnym idealizmu i szlachetności a jakąś brutalną i ciemną potęgą.

Jeźli antagonizm taki istnieje, to właśnie wynika on z wprost przeciwnych przyczyn. Źródło jego leży właśnie w tem, iż jednostka jest nader często egoistyczną i usiłuje się wyłamać z pod etyczno-społecznych obowiązków, jakie nakłada jej współżycie z drugimi ludźmi, które rozbudza dopiero w człowieku drzemiące w nim w zarodku idealne popędy. Ale taki antagonizm nie jest bynajmniej wiecznym, bo egoizm może być złamanym przez idealne dążenia ludzkie! Ale co prawda trzeba uznać istnienie tych idealnych czynników natury ludzkiej, które dokładna a nie powierzchowna, jak u Palante'a, analiza życia społecznego nam niezbicie wykazuje!

Gdyby jednak Palante, mimo tych fałszywych premis, był umysłem ścisłym, mógłby był uniknąć przynajmniej logicznych sprzeczności. Kto mianowicie uznaje społeczeństwo za odrębną istotę, kto, jak on, widzi wieczny antagonizm między jednostką a społeczeństwem, ten nie powinien żadną miarą dopatrywać się w jednostce sprężyny rozwoju społecznego!

Tak też czynią rzeczywiście konsekwentni socyologowie-psychologowie, zwolennicy hypostazy społeczeństwa. Konsekwentnie bowiem przyjmują oni, że także i rozwój społeczny jest nie dziełem jednostek, lecz bądź dziełem mimowiednego oddziaływania duchowego ludzi, społecznie żyjących na siebie, które wytwarza coraz dalej idące wspólnoty duchowe, bądź owego „popędu samozachowawczego“ społeczeństwa, który ma wymyślać organizacyę społeczną dla utrwalenia bytu społeczeństwa.

Za dzieło świadomego działania jednostki a raczej jednostek mogą uważać logicznie rozwój społeczny tylko albo ci socyologowie, którzy uwzględniają wpływ czynników idealnych, łamiących egoizm ludzki na życie społeczne, albo ci socyologowie, którzy odrzucając wprawdzie wszelki idealizm, wychodzą przynajmniej

z założenia, że między interesami jednostki a społeczeństwa, nie ma w rzeczywistości antagonizmu, że jednostkę i społeczeństwo łączą węzły sympatyi, jak to widzimy u Tarde'a, który nadto wcale społeczeństwa nie hypostazuje.

Palante natomiast, który rozdziela wielość ludzi współżyjących niejako na dwa odrębne działy: istotę-społeczeństwo i drugą istotę-jednostkę, stające do siebie w stosunku antagonistycznym, musi, przyznając mimoto jednostce wpływ decydujący na życie społeczne, dojść do parodoxalnego rezultatu, iż rzekomy „rozwój" tego życia społecznego, który jednostka ma powodować, jest w istocie niczem innem, jak stopniowem niszczeniem tego życia społecznego! Podobnie, jak najnowszy system objektywnej socyologii, tak samo najmłodszy twór socyologii psychologicznej, wykazuje niejako dekadencyę naukowych poglądów tego kierunku. Dochodzimy w nim do rezultatów parodoksalnych i negujących wszelką etykę społeczną w stylu rozumowań największego anarchisty społecznego Nitschego!

Ta dekadencya socyologii psychologicznej jest jednak również łatwo zrozumiałą. Kierunek ten socyologii chciał za wszelką cenę utrzymać się w szrankach bezwzględnego naturalizmu, lękał się jak ognia uwzględnienia w badaniach socyologicznych pierwiastków etycznych, idealnych natury ludzkiej.

Ponieważ jednak bez tych pierwiastków niepodobnem jest wytłómaczenie współdziałania jednostki dla celów społecznych, uciekł się więc on do rozmaitych fikcyi, do nieuprawnionych psychologicznych analogii i sądził, że te działania ludzkie zdoła objaśnić za pomocą wprowadzenia jakichś nieetycznych „popędów samozachowawczych" społeczeństwa, które niejako żywiołowo pchać miały jednostkę, jak ślepe siły natury atomy materyi, do działań społecznych, nie oglądając się na jej wolę.

Ale taka teorya, wiodąca do jakiejś bezgranicznej a fałszywej omnipotencyi fikcyjnej istoty-społeczeństwa, do negacyi wszelkiego społecznego znaczenia jednostki, wbrew faktom codziennego doświadczenia, musiała pobudzić myślenie do reakcyi przeciw tym utopiom. Lecz z drugiej strony na gruncie często naturalistycznym, na którym stanęła szkoła socyologii psychologicznej, reakcya ta, dążąca do przewrócenia praw jednostki w życiu społecznem, musiała z natury rzeczy popaść w drugą ostateczność, w pogląd skrajnie indywidualistyczny, graniczący z anarchizmem, który głosi bezwzględną wyższość jednostki nad społeczeństwem, przyznaje jej prawo niszczenia tego życia w imię jej samowoli i sądzi, że rozwój spo-

łeczny idzie w kierunku tej anarchii indywidualistycznej. Gdyby socyologia psychologiczna była uwzględniła działanie idealnych czynników w życiu społecznem, byłaby się ustrzegła tych ostateczności i zrozumiała, że jednostka nie zrzekając się wcale praw swoich w życiu społecznem, może mimo to pracować dla rozwoju tego życia społecznego, choć ono ją krępuje w wielu względach. Byłaby zrozumiała, że, aby wytłómaczyć problem przemian życia społecznego i zgodnego działania w niem jednostki i całości, wśród której ona żyje, nie trzeba uciekać się ani do negacyi znaczenia jednostki dla życia społecznego, ani do negacyi prawa nakładania przez tę całość pewnych więzów samowoli jednostki.

Ostatnie wyniki dawniejszych socyologicznych poglądów stwierdzają tedy, raz jeszcze, iż jedynym ścisłym i płodnym naukowo kierunkiem socyologii, może być jej kierunek najnowszy, idealistyczny.

Witold Lassota.

O powstawaniu naszej Ziemi jako płanety w systemie słonecznym.

(Ciąg dalszy).

II.

Zastanówmy się teraz nad tem, jak ziemia z oderwanego od mgławicy słonecznej pierścienia powstawała i jakie przechodziła koleje, zanim przybrała kształt, który ma obecnie. Dla uzyskania pewniejszej podstawy do prawidłowego rozumowania w tej tak bardzo ciekawej, ale także i wielkie trudności nasuwającej kwestyi, zwrócić przedewszystkiem należy uwagę na to powszechne prawo natury, że „wielka rozmaitość rzeczy i wszelkich wogóle pojawów w przyrodzie jest koniecznym wypadkiem długiego szeregu pojedyńczych przeistoczeń czyli metamorfoz.“ Im dłużej trwa takie przeinaczenie, im liczniejsze przechodzi zmiany, tem większy też jego skutek. Podobnie też i teraźniejszy stan naszej ziemi przedstawia nam ostateczny wypadek długich, bardzo rozmaitych i wielorakie zmiany przechodzących procesów. Przemiany te odbywały się w ten sposób, że zawsze skutek każdej z nich nie mógł być całkiem zniweczony przez skutki następnej. Po każdej takiej zmianie zawsze coś pozostało, choćby to na nowem tylko ugrupowaniu materyalnych cząstek ograniczyć się miało. Do zmiany już dokonanej przybywały ciągle nowe, które na następne znowu oddzia-

ływały. Tyczyło się to tak nieorganicznych części składowych, jak i organicznych aż do sfer najwyższych, nawet duchowych... Prawo to nie jest bynajmniej hipotezą, ale do historyi tworzenia się płanety naszej tylko sposobem domniemywanym zastosować się daje, bo chociaż odnosi się do pojedyńczych przeobrażeń dowodnie nam znanych, jednak zupełne jego zastosowanie do całości wszystkich tych przemian jest dziś jeszcze niepodobieństwem, gdyż wiele ważnych szczegółów w długim tym szeregu zmian jest nam całkiem obcych, a wiele z nich znamy tylko pobieżnie, niedokładnie. Prawem tem jednak cały przebieg tworzenia się ziemi w ogólnych zarysach niejako objaśnić można, opierając się na niewątpliwem przypuszczeniu powolnego ziębnienia czyli stygnięcia kuliska ziemskiego, pędzącego w ruchu wirowym po Ekliptyce w zimniejszej, stosunkowo bardzo zimnej, przestrzeni światowej.

Głównym warunkiem tego przeistaczania we wszystkich epokach jest ciągły ruch, czyli nieustanna przemiana układu najdrobniejszych cząstek materyi ziemskiego kuliska. Ostatecznej przyczyny tego drobinowego i atomowego ruchu nie znamy dokładnie. Znamy wszakże prawa ciążenia i chemizmu, światła i ciepła, działań elektrycznych i magnetycznych, tudzież czynności życia roślin i zwierząt, nareszcie ogólne i zasadnicze prawa natury, [1]) które wszystkie przy dochodzeniu w mowie będącem, zastosować należy.

Poszukiwania geologiczne z wszelkiem prawdopodobieństwem nasuwają nam wniosek, że nasza ziemia była kiedyś w stanie żarząco-płynnym, [2]) czyli ściślej mówiąc w stanie ognisto-ciekłym.

---

[1]) Obacz Urbańskiego Pisma pomniejsze. Lwów 1869, str. 341.

[2]) Przeciw tej oddawna ustalonej teoryi wystąpił niedawno przyrodnik Bischoff, autor dzieła: Chemische Geologie, który utrzymuje, że ziemia nie była pierwotnie nawet ciekło-płynną, a starodawna jej powierzchnia, będąca dziś dnem morza, posiada kształt kulisty. To ostatnie twierdzenie opiera on na nowszych wymiarach głębin morskich, które wszakże (jak wiadomo) nie są i nie mogą jeszcze być doskonałemi, zatem nie dostarczają podstawy do wniosków tak daleko idących, jakt to Bischoff, a za nim w najnowszych czasach chemik Mohr zamierzył.

Obaj nie uwzględnili, widać, tej w analitycznej mechanice udowodnionej prawdy, że przyciąganie jednostajnie gęstej lub z jednostajnie gęstych symetrycznie ułożonych warstw złożonej kuli, (a od takiej w ogólności ziemia nasza nie bardzo się różni) na każdy punkt swej powierzchni

Domniemywamy się tego z ciepła, dotąd w ziemi pozostałego, które objawia się nam z jednej strony coraz wyższym stopniem temperatury, im głębiej się w jej wnętrze zapuścimy, (pominą-

tak się odbywa, jakoby cała masa jej w środku postaci była nagromadzona. U ziemi w istocie wypadki atrakcyi w każdem miejscu, jak to przez geodetyczne pomiary i doświadczenia wahadłowe dostatecznie udowodniono, są prawie takie, jakie tylko przy regularnem dośrodkowem ułożeniu się warstw być muszą. Małe zboczenia, dopiero przy rozległych i z wielką ścisłością prowadzonych geodetycznych pomiarach okazujące się na punktach zenitowych, idą słusznie na karb nieregularnego tu i ówdzie ułożenia pokładów przy samej powierzchni starej ziemi. Gdyby ona niegdyś była tylko rumowiskiem luźnych mas, w całości swej postać kuli mającem, nie byłaby mogła przyjść do tej wewnętrznej budowy, jaką dziś ma, gdyż dośrodkowe regularne uwarstwowienie tylko w takim razie jest możliwem, jeśli wszystkie części odpowiednio panującym wpływom pędu odśrodkowego i atrakcyi dośrodkowej układają się swobodnie do koła wspólnego punktu ciężkości; co oczywiście jedynie w cieczy lub w ciele bardzo miękkiem dziać się może. Przy innem rozdzieleniu mas wewnątrz ziemi, jak dzisiejsze, musiałoby w niej być kilka punktów środkowych atrakcyi, a w takim przypadku nie znalibyśmy ani jej kształtu, ani jej prawdziwej wielkości: nie posiadalibyśmy dokładnych obserwacyi astronomicznych, ani też sposobów orientowania się na pełnem morzu. Żeglugę oceanową i handel światowy do mrzonek zaliczaćby należało...

Także chemiczne i mineralogiczne badania składu skał nie postąpiły jeszcze tak daleko, abyśmy na ich wypadkach mogli opierać rozwiązanie zagadnienia o pierwotnym stanie naszej ziemi. Twierdzenie Leopolda Bucha o wulkanicznem pochodzeniu bazaltu, usiłował w najnowszych czasach obalić Fryd. Mohr, który utrzymuje, „że niezawodnie ślady stopionych bazaltów są tylko zjawiskami miejscowemi, a nie dowodzą wcale wulkanicznego pochodzenia tego minerału." Na poparcie zdania swego przytacza on tę okoliczność, iż węgle kamienne w Kurhessyi, uważane za dowód ognistego działania bazaltu na te węgle, zawierają w sobie 3 do 5 odsetnych wodoru a 22 do 30 odsetek tlenu, zatem nie mogły być nigdy ogrzane nawet do stopnia czerwonego żaru, gdyż gazy te w tak wysokiej temperaturze nie utrzymałyby się w tej ilości jako części składowe ciała organicznego, bo każde takie ciało, należycie żarzone, pozostawia węgiel — koks (Coake), który po usunięciu wody higroskopicznej, żarzony bez dostępu powietrza, nie doznaje już więcej żadnej straty na wadze. Dressel wszakże w swej znakomitej monografii o bazalcie udowodnił z mikroskopem w ręku, że minerał ten z pewnością przechodził próbę ogniową, że stężał z masy roztopionej; co także lwowski profesor mineralogii, dr. Ferdynand Zirkel potwierdził, znalazłszy pomiędzy częściami składowemi zwyczajnych bazaltów i law bazaltowych drobne ziarnka szklanne, a w mikroskopijnie małych ich porach płynny kwas węglowy, z czego wnosić musimy, że tak owe bazalty jak

wszy pewne znane wyjątki z miejscowych przyczyn pochodzące.[1]) z drugiej zaś strony działaniem wulkanicznem, w różnych miejscach obserwowanem. Analogia z innemi ciałami niebieskiemi przemawia też za takim stanem w daleko odległej przeszłości. Nareszcie świadczą o nim całe szeregi wykopalisk, będących skutkiem bardzo wysokiego stopnia dawnej temperatury, tudzież dzisiejsza mechaniczna teorya ciepła, na przypuszczeniu bardzo skorego ruchu atomów w ciałach polegająca i dlatego niezmiernie wysoką temperaturę ziemi w młodocianym jej wieku z koniecznością przyjmująca, a przedewszystkiem, jak to już wyżej napomknąłem, wybitna postać naszej planety, która odpowiada w zupełności kształtowi, jakiby płynna kula takiej samej wielkości i ge-

---

i te potoki lawy w bardzo wielkich głębiach ziemi tworzyć się musiały i w stanie stężenia na jej powierzchnię wytrącone zostały.

Co się nareszcie tyczy podawanych różnych przyczyn rosnącej z głębią temperatury ziemi, prawdą jest, że ciśnienie pokładów górnych na dolne, tudzież opadanie ich w wielu miejscach wskutek odpływu wody z olbrzymich jam w głębi ziemi znajdujących się — dla przemiany mechanicznej pracy w ciepło — podniesienie temperatury wewnątrz ziemi sprawiać musi; które następuje też z powodu różnych spraw chemicznych w pokładach samych, szczególnie za przyczynieniem się wsiąkającej w ziemię wody meteorycznej. Ale czy te wszystkie działania razem potrafią tyle dostarczyć ciepła, ile go do wspomnianego wzmagania się temperatury wewnątrz ziemi potrzeba, trudno zaiste orzec z pewnością, równie jak znowu nie łatwo wyobrazić sobie ogromne wewnątrz ziemi morze wysokiego żaru, 850 mil w promieniu mające, a otoczone tylko 6 do 10 mil grubą skorupą skalistą (stałą warstwą ziemi), która mimo to ciepła na zewnątrz już nie przepuszcza. Niezawodną jest też rzeczą, że ogniska wulkanów nie sięgają tak głęboko, jak to zwykle się mówi, lecz rozpocierają się przeciwnie niedaleko wierzchnych warstw skorupy ziemi, i leżą co najwięcej 30 do 40.000 stóp pod dnem morza, zatem nie zostają bezpośrednio w żadnej styczności z ognistopłynnem jej wnętrzem, a wybuchy ich są po największej części tylko wypadkami miejscowych spraw chemicznych, nie zaś strumieniami ziejącego ogień wnętrza naszej planety, która niegdyś bez wątpienia była cała ognisto-płynną.

[1]) Świdrowe próby, wykonane na wielkie rozmiary w Anglii, w północnej Francyi i w Sperenbergu pod Berlinem, wykazały wprawdzie, iż w miarę zapuszczania się w głąb ziemi, temperatura wogóle wzrasta, ale wzrost ten nie był prawidłowy i we wszystkich tych miejscach postępował w stosunku niejednostajnie, malejącym według wzoru empirycznego: $t = 7.18 + ax + bx^2$, w którym t oznacza temperaturę w stopniach Reumura, x głębokość, ilości zaś stałe a, b, mają wartości następujące: $a = 0{\cdot}01298$, $b = 0{\cdot}000,000.12579$.

stości przybrać musiała, gdyby się z równą chyżością jak ziemia nasza obracała około swej osi.

Żaden z przytoczonych faktów nie jest sam przez się bijącym dowodem, lecz zgadzanie się ich wszystkich ze sobą odpowiada zupełnie powyższemu przypuszczeniu i teraźniejszym poglądom nauk przyrodniczych w zastosowaniu do geologii.

Wychodząc z niego najłatwiej wytłumaczyć dzisiejszy kształt i układ ziemi, powoli wprawdzie ale ciągle od miliardów wieków stygnącej. Jeśli ono jest zgodnem z prawdą, to wiekowe ubywanie temperatury kuli ziemskiej, rozłożone na cały przeciąg czasu geologicznego, wynika z niego bezpośrednio: o czem wreszcie nawzajem budowa wierzchnich warstw ziemi i rozdzielenie w nich organicznych pozostałości najwymowniej świadczy.

Stygnięcie to, za główną przyczynę wszelkich przemian geologicznych uważane, snuć nam każe dalsze jeszcze wnioski, odnoszące się do czasów, które poprzedzały ów stan żarząco ciekły. Okazuje się on nam jako prosty wypadek ziębnienia dawnego kuliska gazowego: — co również z pewnemi wynikami badań astronomicznych zupełnie się zgadza.

Badania optyczne promieni słonecznych udowodniły, że słońce w bardzo znacznej części dziś jeszcze w stanie rozprężliwo-płynnym się znajduje, zatem dopiero kiedyś przejdzie całkiem w stan żarząco płynny a następnie stały, jeśli nie zajdą przedtem jakie jeszcze okoliczności, które temu przeszkodzą. Ziemia pokrywszy się grubą stałą skorupą, ma wewnątrz pod nią bardzo wiele jeszcze żaru płynnego, księżyc zaś jej zdaje się być ciałem już na wskróś stężałem. W systemie więc słonecznym napotykamy wszystkie te trzy odmiany ciał niebieskich, zgodne z ich wielkością... Bez wątpienia są one wszystkie wielkiemi odłamami jednej ogromnej wyspy światowej mgły, podobnie jak części składowe komet, jak bolidy i wogóle meteoryty są małemi niejako okruchami tych wielkich odłamów. Wszystkie są z jednakowej materyi, gdyż zawierają pierwiastki, które na ziemi a według analizy spektralnej także na słońcu znachodzimy.

Pod wpływem jednakich warunków ziębienia, tj. równego wysełania ciepła promieniami w przestrzeń światową, z pomiędzy kulisk gazowych musiało to prędzej zamienić się w ciało płynne, a potem stałe, które stosunkowo mniejszą objętość posiadało. Najpierw księżyc ziemski doznał takich zmian, potem ziemia, a na ostatku kiedyś, kiedyś to samo stać się powinno ze słońcem, jeśli wymienione przeobrażenia nie są tylko peryodycznemi, nad czem

jeszcze pod koniec niniejszej rozprawy bliżej zastanowimy się snując dalsze wnioski, sięgające głębiej w pomrokę tworzenia się świata, gdyż grupowanie się materyi w systemie słonecznym niezawodnie poprzedzać musiało jakieś inne jej ugrupowanie, przechodowe z ogólnego systemu kosmicznego w system nasz słoneczny. Wprawdzie przypuszczenie to ostatnie nie ma pełnych dowodów, ale też nie stoi w sprzeczności z żadnem prawem przyrody, ani nawet ze szczególnym jakim faktem ważniejszym, dowodnie nam znanym.

Jeżeli rozpatrując się w pierwszym akcie tworzenia się ziemi, przyjmiemy stan powietrzny za jej stan pierwotny, w długim cyklu różnych metamorfoz, które przechodzić musiała, zanim doszła do dzisiejszej swej wewnętrznej i zewnętrznej budowy, zaznaczyć możemy ogólnikowo następujących kilka głównych epok i w każdej z nich opisać najwybitniejsze objawy, znamionujące właściwie każdoczesny akt tworzenia.

Wszystkie ciała w pewnej (wysokiej) temperaturze są powietrznemi. Stopień jednak ciepła, przy którym to następuje, nie u wszystkich ciał jest jednaki. Stan powietrzny w bardzo wysokiej temperaturze utrudnia (a w przypadkach dyssocyacyi uniemożliwia) chemiczne łączenie się pierwiastków daleko więcej, niż w zwyczajnych okolicznościach stan stały lub ciekły. Jeśli więc cała masa ziemi niegdyś w stanie powietrznym się znajdowała, z postępującym coraz dalej ubytkiem ciepła, musiały pewne jej części przechodzić powoli w stan odmienny: mianowicie proste (nie złożone chemicznie) materye, jedna po drugiej lub i kilka ich razem, zaczęły w pewnych temperaturach tworzyć ze sobą związki chemiczne, a nowo powstałe ciała złożone doznawały następnie różnych zmian, które w początkowej, bardzo wysokiej temperaturze były niemożliwe. Ciągły i to bardzo znaczny ubytek ciepła na całej olbrzymiej powierzchni ziemskiego kuliska, sprawił tedy najprzód zmianę w stanie skupienia pewnych części materyi a następnie także różne zmiany w chemicznej przyrodzie innych znowu jej części, gdyż oczywiście niektóre pierwiastki i pewne ich połączenia chemiczne musiały przejść w stan ciekły, podczas gdy inne dawniejszy swój stan powietrzny jeszcze zatrzymały. Ciążenie równie stale i skutecznie działało, jak stygnięcie. Czy zaś różnorodne pierwiastki (ciała proste) w tem gazowem kulisku ułożyły się nad sobą według ciężaru gatunkowego, czy przeciwnie były jednostajnie pomieszane ze sobą, trudno orzec z pewnością, zwłaszcza, że dla ruchu obrotowego ziemi, także siły

odśrodkowe równocześnie czynnemi być musiały. Cały ten długi przeciąg czasu stanowi Epokę mgławo-gazową pierwszego aktu tworzenia się ziemi.

Ponieważ wszystkie ciała w stanie ciekłym są gatunkowo cięższe, niż w powietrznym, więc te, które się najprzód skropliły i zbiegły w ciecze, musiały bezpośrednio około środka ciężkości zbierać się, podczas gdy gazy i pary utworzyły rodzaj atmosfery, oblewającej ze wszech stron ciekłe jądro, które śród postępującego dalej stygnięcia, kosztem tej gazowej osłony, ciągle się powiększało połączeniami chemicznemi, w ogniu najwytrzymalszemi, jak kwas krzemowy, glinka, wapno, magnezya, tlenek żelaza..... Wówczas nie było jeszcze połączeń tlenu z rtęcią, ani też tlenu z wodorem. Zgęszczone materye układały się nad sobą koniecznie według swego ciężaru gatunkowego: cięższe niżej a lżejsze wyżej nad niemi, skąd się wzięło, że średnia gęstość całej ziemi jest dwa razy większa, niż górnych jej warstw, które znamy. Dlatego (równie jak i dla wielkiego wewnętrznego ciśnienia, rosnącego z głębokością) dokoła środka ziemi mogą być ułożone warstwy, których pierwiastki chemiczne daleko są gatunkowo cięższe i całkiem inaczej ugrupowane, niż w ciałach nam znanych górnej skorupy ziemskiej. Przy dalszem jeszcze ziębnieniu tak onej bardzo gęstej atmosfery, jako też i tego ciekłego kuliska, musiało się z niej coraz więcej ciał wydzielać i zbiegać w krople, przyłączające się do ogólnej cieczy. Z czasem więc znikły z niej wszystkie te ciała proste, które w zwyczajnej naszej temperaturze piecowej już tylko w stanie ciekłym utrzymują się. Była to późniejsza epoka tworzenia się ziemi. Epoka tak zwanego roztopu.

III.

Gdy stygnięcie ciągłe dalej postępowało, nietylko cząstki powietrzne, zapadające do cieczy, przyłączały się do ciekłego jądra, ale i ono samo na koniec w pewnej odpowiednio zniżonej temperaturze zaczęło na swej powierzchni tu i ówdzie [1]) tężeć, t. j. w stan stały przechodzić. Podobnie jak woda w temperaturze 0° na miejscu otwartem pokrywa się lodowatą powłoką, tak samo rzeczone ognisto-ciekłe jądro ziemi w odpowiedniej (w po-

[1]) Hunt, jak to niżej zobaczymy, jest całkiem przeciwnego zdania.

równaniu z wodą marznącą bardzo wysokiej) temperaturze, pokryło się z czasem twardą skorupą, która przy zupełnym spoczynku w gorącej atmosferze byłaby całkiem gładką była, jednak wśród różnych okoliczności i wielu przyczyn ciągłego ruchu, między któremi atrakcya słońca i księżyca główne zajmuje miejsce, odmienny kształt przybrała. Ciepło, przy tem pierwszem stężeniu powstałe w części, uszło promieniami w przestwór światowy, w części udzieliło się cieczy pod skorupą i podniosło jej temperaturę znowu wyżej, przez co pewne części stężałej już skorupy napowrót stopnieć musiały. Wskutek tego pierwsza skorupa ziemi tylko częściowo, czerep po czerepie, mogła się układać w jedną ciągłą całość w ten sposób, że te kawały kamiennej kry, pływającej w coraz większej ilości, dopóty wyciskały ciężerem swoim gorącą ciecz do góry, aż ona po dostatecznej utracie ciepła pomiędzy ich brzegami stężała i ostatnie rozpadliny, tym kitem nareszcie wypełnione, zawarły się. Z takiego pierwszego wypełniania rozpadlin stopioną cieczą, pochodzą zapewne tak zwane plutoniczne kopaliny, które dziś jeszcze w wielu miejscach wyzierają z ziemi i znachodzą się tam, gdzie zwarta po raz pierwszy skorupa ziemi dla słabszego związku części następnie znowu rozpadać się musiała. W nieustannem bowiem stygnięciu i w rzeczonych wyżej działaniach zewnętrznych, a bez wątpienia i wielu wewnętrznych, znachodzimy dosyć powodów do pękania i rozpadania się powstałej świeżo skorupy, w której rozpadliny cisnęły się gwałtownie płynne masy wewnętrzne. Taki początek ma pierwsza kamienna formacya wybuchowa i takim sposobem pomiędzy powietrznemi masami ziemi a ognistą jej cieczą usadowiły się stężałe masy, których pojawienie się znamionuje epokę skrzepu. Stwardniała skorupa oziębiała się ciągle dalej i przez następne tężenie mas ciekłych, na wklęsłej (wewnętrznej) stronie przylegających, stawała się coraz grubszą. A że utrata ciepła zawsze z kontrakcyą (ściąganiem się) ciała jest połączona, więc ta pierwsza całkiem zamknięta skorupa ziemi, opasująca kulisko ciekłej masy, wskutek postępującego dalej ściągania się tejże masy, większego niż to, jakiego sama doznawała, po niejakim czasie za szeroką dla niego stać się musiała. Pomiędzy nią tedy a następną stężałą warstwą, porobiły się wielkie otchłanie, w bardzo wielu miejscach bez wszelkiej podpory dla pierwszej skorupy, która też dlatego załamywać się i te względne próżnie wypełniać zaczęła. Czerepy jej przy tej rumacyi, ponieważ była za szeroka dla we-

wnętrznego, w objętości swej zmniejszonego kuliska, w części nasuwały się na siebie i układały do równowagi, w części zaś piętrzyły się brzegami ku sobie do góry, krusząc się najrozmaiciej, przyczem mniejsze kawały przewracały się nawet tu i ówdzie spodnią powierzchnią całkiem do góry.

Dr. Wojciech Urbański.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka uwag o książce p Józefa Olszewskiego: „Biurokracya".

Niedawno temu na wystawach księgarskich, ukazała się książka pod tytułem: „Biurokracya". Okładkę książki zdobią grzyby, symbol zgnilizny i rozkładu. Ten już zewnętrzny wygląd książki zapowiada od razu, że autor pracy, Józef Olszewski, zamierza w niej traktować biurokracyę, jako społeczny objaw ujemnego, rozkładowego znaczenia.

I tak jest w rzeczywistości!

Celem pracy p. Olszewskiego jest, według jego własnych słów w przedmowie wypowiedzianych, odkryć przed okiem ogółu groźną, społeczną chorobę, silnie w społeczeństwie zakorzenioną, której winą jest, „że wady w ustroju i działalności władz administracyjnych istnieją i dają się uczuć dotkliwie naszemu, społecznemu życiu".

Tą chorobą i to chorobą, jak widzimy, właściwą w pierwszym rzędzie naszemu społeczeństwu, ma być zdaniem autora biurokracya.

„Mało ludzi poznaje — są słowa autora — że jedną z najgłówniejszych dziś chorób społeczeństwa, które nie dotykają jednej, szczegółowej części organizmu społecznego, a przeto nie dadzą się usunąć radykalnie nawet przez amputacyę (?!) tej części, lecz tkwią w całym jego organizmie i zatruwają całe jego

życie, to biurokracya! Ona pasorzytuje w sokach najżywotniejszych całego organizmu społecznego, niszcząc wszelkie swobodne i zdrowe życie.“

Zaniepokojony tą groźną chorobą społeczną, autor zamierza określić jej istotę, zbadać jej genezę i symptomy i podać środki na jej usunięcie.

Przypatrzmy się bliżej temu, jak autor wywiązuje się z podjętego przez się zadania!

Jakkolwiek autor, jak wiemy już, bada chorobę „lokalną“, t. j. właściwą zdaniem jego, naszemu przedewszystkiem społeczeństwu polskiemu w Galicyi, to jednak chce on swoje badania oprzeć na szerszej podstawie, „dać szersze tło pod ogólny obraz, w którym łatwo znaleść rysy charakteryzujące najbliższe nam stosunki.“ Ma ten sposób traktowania przedmiotu nadać dziełu p. Olszewskiego charakter pracy głębszej, o pokroju naukowym...

Temu celowi służyć ma przedewszystkiem wstęp historyczny, który zawierać ma „historyę urzędów“ i związaną z nią ściśle historyę biurokracyi...

Niestety, wstęp ten mija się odrazu ze swem przeznaczeniem. Zamiast nadawać książce charakter poważnej, głębszej pracy, przekonuje on nas odrazu o niesłychanej powierzchowności i dyletantyzmie autora, połączonych z rażącą pretensyonalnością i gadatliwością, co wszystko nie przyczynia się wcale do wzbudzenia w czytelniku zaufania do dalszych ustępów pracy p. Olszewskiego...

Przedewszystkiem uderza nas w tym wstępie brak u autora najkardynalniejszych pojęć socyologicznych, dalej pojęć z zakresu ogólnej nauki o państwie, a wreszcie rażąca nieznajomość faktycznego materyału historycznego, który autor znać był powinien. Nakoniec pełno tu sprzeczności, w które autor wpada co chwila, nie zdając sobie z tego sprawy, czy nie robiąc sobie z tego najmniejszego skrupułu.

Zaraz na str. 22 dowiadujemy się ze zdumieniem, wbrew wszystkim dotychczasowym zdobyczom socyologii, że — zdaniem p. Olszewskiego — w okresie organizacyi społecznej, opartej na związkach krwi, czyli rodzinnych, panować miało na wewnątrz grup społecznych tylko prawo pięści, a natomiast brakowało tu rzekomo takich czynników, jak religia lub normy społeczne, urządzające stosunki między członkami grupy!

Ale ciekawszych jeszcze rzeczy dowiadujemy się na str. 24 dzieła... Omawiając tam wielkie monarchie starożytności, zrodzone na Wschodzie, autor wypowiada z całą naiwnością, czy niewiadomością następujące zdanie:

„Łatwo zrozumieć, że w tym okresie rozwoju idei państwowej nie może być jeszcze mowy o zagarnięciu przez państwo i jego funkcyonaryuszów zbyt szerokiego zakresu władzy i o krępowaniu jednostki przez organizacyę urzędniczą...“

A więc widocznie autor nie ma najmniejszego pojęcia o ustroju państwowym i społecznym monarchii tego typu, jak starożytne państwo Faraonów nad Nilem, jak starożytny Babylon, jak dawne a nawet i dzisiejsze Chiny!...

Gdyby autor był już, nie sięgając nawet głębiej w rzecz całą, przeczytał przynajmniej artykuł Maksa Webera o starożytnych państwach Wschodu, pomieszczony w dziele, które zresztą autorowi zdaje się być znanem nieco, a mianowicie w Conrad'a-Lexis'a: *„Handwörterbuch der Staatswissenschaften“*, [1]) byłby się już z niego dowiedział, że właśnie w owych starożytnych państwach Wschodu, rozkwitała najbujniej „biurokracya“ w znaczeniu kasty urzędniczej, wyzyskującej instytucyę państwową na korzyść panującego i swoją i „krępującej w najwyższym stopniu działanie jednostki.“

Ale jeszcze ciekawszych szczegółów byłby się dowiedział autor o biurokracyi i jej dziejach, gdyby był zaglądnął do prac takiego np. Ermana o Egipcie starożytnym [2]) lub Platha o Chinach. [3]) Np. w owych pracach Platha byłby znalazł nawet cenne materyały do tak interesującej go, a tak po dyletancku przez niego traktowanej statystyki biurokracyi, a mianowicie statystykę tę w odniesieniu do Chin.

Nawiasem zaznaczam tu, że o tem państwie typowej biurokracyi, p. Olszewski w swym wstępie historycznym nie wspomina ani słowa. Natomiast autor prawi bardzo wiele o starożytnych państwach greckich, gdzie biurokracya rzeczywiście nie rozwinęła się. Zapomina tylko, sławiąc te państwa, jako wzór cnót obywa-

---

[1]) Conrad-Lexis: Handwörterbuch der Staatswissenschaft, drugie wydanie, tom I., str. 57 nst.

[2]) Erman: „Aegypten und aegyptisches Leben im Alterthum“ (str. 84—150).

[3]) Plath: „Verfassung und Verwaltung China's“, str. 76 i nstp.

telskich, autonomii w starożytności i wszechwładztwa wolnych obywateli, że były to właśnie typy państwa na najbrutalniejszym wyzysku opartego. Wyzysku tego nie dopuszczała się wprawdzie „kasta urzędnicza", lecz uprawiali go zato wszyscy wolni obywatele tych państw, stanowiący wobec ludności zawisłej małą stosunkowo garść. Wyzyskiwali oni tę ludność zawisłą, stanowiącą większą część społeczeństw, rządzonych przez owe państwa, w sposób niemiłosierny, tak za pomocą urzędów publicznych, przez się piastowanych, jak i za pomocą instytucyi poddaństwa. Nadto kwitnęło tam w całej pełni niewolnictwo, które nic innego także nie przedstawia, jak wyzysk ogromnych mas ludności, przez garść „wolnych obywateli", którzy „z poczucia obowiązku — jak sądzi autor — spełniali urzędy publiczne i widzieli w nich dumę swoją." Podobne stosunki panowały także w imperyum rzymskiem, gdzie autor tak podnosi z uwielbieniem, iż urzędy publiczne były „bezpłatne i honorowe". Honorowanie urzędów — które zresztą, jak sam autor to dalej przyznaje, w czasach cezarów miało już miejsce — było w Rzymie zbędnem, bo owi wolni i nader autonomicznie usposobieni obywatele Rzymu, byli — jak dzisiejsze badania z zakresu nauk społecznych to zgodnie wykazują — zwartą hordą łupieżców, którzy wyzyskiwali bez granic podbijane przez się kraje i pełniąc właśnie „honorowe" urzędy publiczne rzeczypospolitej, obławiali się złotem, złupionem z rządzonej przez nich ludności nieszczęsnych prowincyi Rzymu.

Jeżeliby przykłady Grecyi i Rzymu, miały służyć do wykazania wyższości samorządu nad administracyą publiczną przez urzędników zawodowych kierowaną, natedy źle bardzo wybrałby się z nimi autor!

Zatopiony zupełnie niepotrzebnie w czasach klasycznej starożytności, autor znów zupełnie zapomniał zapoznać się z tymi faktami historycznymi, które właśnie dla piszącego „historyę urzędów" być powinny pierwszorzędnego znaczenia...

Starożytne Byzancyum, ów wzór państwa biurokratycznego, nie zasłużyło sobie wcale na uwagę autora. A jakaż to szkoda! Ileż bowiem cennego materyału mógł zaczerpnąć autor z dziejów tego państwa dla swej pracy! Gdyby np. był sobie tylko zadał tyle trudu, ile potrzeba dla zapoznania się choćby tylko z Gfrörer'a *„Byzantinische Geschichte"*, pracą, która tyle uwagi zwraca właśnie na problem centralizacyi administracyi państwowej i biurokratyczny jej charakter w monarchii byzańtyńskiej!

Dla autora tedy historya urzędów biurokratycznie urządzonych, rozpoczyna się właściwie dopiero z przejściem od wieków średnich do czasów nowożytnych. I w tej właśnie części wstępu historycznego p. Olszewskiego spotykamy najzabawniejsze i najliczniejsze dowody zupełnego braku naukowego wykształcenia i gruntowności autora.

I tak dowiadujemy się tu najprzód, że — zdaniem p. Olszewskiego — nie kto inny jak... „państwo prawne“ *(Rechtsstaat)* miało zburzyć autonomię miast i korporacyi z średniowiecza wyniesioną. Tymczasem każdy, komu nie jest obcą dzisiejsza wiedza społeczna, a w szczególności ogólna nauka o państwie, wie, że to „zburzenie autonomii miast i korporacyi“, było dziełem „państwa policyjnego“, czasów t. z. „światłego absolutyzmu“, które na długo poprzedziło „państwo prawne“. Ale p. Olszewski nie troszczy się o to wcale, i z całym spokojem ducha przewraca faktyczny stan rzeczy, przemienia historyczny porządek następstwa różnych typów państwa po sobie, twierdząc dalej, że dziś dopiero nastała epoka „państwa policyjnego“, które jest zarazem — według p. O. — „fabryką aktów“! (str. 66).

„Państwo prawne“ — dalej, które — jak wiadomo — pragnęło się ograniczyć jedynie i wyłącznie do strzeżenia istniejącego porządku prawnego, do przeszkadzania jego naruszeniom, pozostawiając wszelkie inne zadania społeczne inicyatywie jednostek, miało zdaniem p. Olszewskiego dążyć do w s z e c h w ł a d z y p a ń s t w o w e j — a jednym ze środków do tego było dlań stworzenie armii urzędników i „mechaniczny“ podział terytoryum państwowego na „powiaty, cyrkuły i prowincye“.

Dotychczas w zakresie nauk prawno-państwowych, pojęcie „mechanicznych podziałów“ kraju było nieznanem. P. Olszewski mógłby mieć więc zasługę stworzenia jednego pojęcia więcej w tym zakresie wiedzy, gdyby nie to, iż brak temu nowemu pojęciu najkardynalniejszej podstawy do jego utrzymania się w dziale wiedzy, t. j. logicznego sensu.

Państwo dzisiejsze, które, jak wiadomo, reprezentuje typ państwa socyalno-gospodarczego — o czem nawiasem powiedziawszy p. Olszewski nic nie wie — jest znów według jego zdania „maszyneryą i stadem złączonych przymusem, siłą i wolą jednostek“, jeżeli tylko administracya publiczna nie jest w niem powierzoną wyłącznie organom samorządnym, lecz także urzędnikom zawodowym.

Z takiego chaosu niejasnych lub wprost fałszywych pojęć wyłania się wreszcie u p. O. właściwa „historya biurokracyi“. Dowiadujemy się tedy w tym względzie najprzód, że „właściwą epoką szalonego rozkwitu biurokracyi“. były „rządy demokratyczne i czasy imperyalizmu napoleońskiego“, ale że „nie można zaprzeczyć, iż istniały jej zawiązki już w czasach monarchicznych.“ którem to mianem, oznacza p. O. czasy przed rewolucyą francuską. Od wieku mianowicie XVI. datuje p. O. początki właściwych urzędów państwowych. Ale właściwa epoka ich rozwoju jest, zdaniem jego, o wiele późniejszą. Mianowicie „organizacya nowoczesnego p a ń s t w a p r a w n e g o, zaczęła wchodzić na dobre (?!) w życie w połowie XVIII. wieku. (kiedy właśnie kwitnęło państwo policyjne światłego absolutyzmu p. r.), kiedy w Europie w miejsce dotychczasowej władzy książąt i feudalnych panów, zaczęła wchodzić powoli władza państwa. Równocześnie z tem przekształceniem się źródła władzy, musieli też i jej wykonawcy zmieniać się z urzędników dworu w s ł u g i i p o m o c n i k ó w (?) organizmu państwowego“ (str. 49).

Z tego wszystkiego. pomijając rażące błędy historyczne, wynikałoby więc, że biurokracya jest właściwie dzieckiem czasów stulecia XVIII.

Ale ku największemu naszemu zdziwieniu kilka kartek dalej czytamy następujący ustęp:

„Ten system (protekcyjny rządów państw) sprowadził rządy mniejszości t. j. panującego i armii jego urzędników, która wnet ujęła rządy i administracyę spraw państwa w swe ręce jako monopol. usuwając coraz bardziej dawne terytoryalne i feudalno-arystokratyczne czynniki władzy. Spółka ta panującego i jego armii urzędników zagarnęła monopol politycznej wiedzy i umiejętności kierowania sprawami publicznymi, sterowania tak prawodawstwem, jak i administracyą. Arystokracya urzędnictwa stanęła obok ludu i nad ludem. Tak powstał m a n d a r y n i z m e u r o p e j s k i. uważający siebie za twór idei monarchicznej władzy, identyfikujący swoje powołanie, z powołaniem samego państwa i znajdujący najdobitniejszy wyraz w znanym frazesie Ludwika francuskiego *„L'état c'est moi!“*

A więc biurokracya w pełnem tego słowa znaczeniu wytworzyć się musiała jeszcze przed Ludwikiem XIV., skoro on systemowi jej rządów już nadał tylko najlepszy wyraz!

Jakżeż z tem pogodzić poprzednie historyczne wywody p. O., według których biurokracya rozwija się na prawdę dopiero w pań-

stwie prawnem, które w rzeczywistości zaistniało z początkiem XIX. stulecia, lub nawet z twierdzeniem dalszem p. Olszewskiego, że czasy właściwe biurokracyi, to wiek XVIII.?

Dla p. O. sprzeczności nie istnieją jednak! Wypowiada on je jednym tchem, nie troszcząc się o nie wcale, pokrywa je powodzią frazesów, które mają oślepić czytelnika, aby nie dostrzegł próżni myśli i wiedzy, która za niemi się kryje.

Ale pomińmy na razie te słabe strony „wstępu historycznego“ p. O., a przypatrzmy się natomiast temu, jakie z ram tego wstępu wyłaniają się kształty tej instytucyi społecznej, którą p. O. darzy mianem biurokracyi?

Urzędnicy zawodowi, których, zdaniem p. O. już nam znanem a zupełnie fałszywem, miało wytworzyć rzekomo dążące do wszechwładzy „państwo prawne“, „mieli — są to słowa autora — początkowo może trochę liberalniejsze poglądy na świat i życie, aniżeli sfera, z której wyszli i idea (?), która ich zrodziła.“ Lecz wkrótce następuje w nich zmiana! — bo, „dla utrzymania swej powagi w nowym charakterze sług państwowych, gdy z utratą charakteru urzędników dworu, przestał na nich spływać blask potęgi panującego, zaczęli ci urzędnicy szeregować się w zwartą, odosobnioną od reszty świata k a s t ę (str. 50). Z początku ta kasta była moralnie i materyalnie jeszcze zdrową, ale w niedługi czas potem poczyna ona psuć się pod każdym względem. Nastają bowiem czasy konstytucyonalizmu, wolnym obywatelom przyznaje się prawo krytykowania i kontrolowania urzędów, co zagraża ich wszechwładzy. Z drugiej strony wzrost wielkiego przemysłu wytwarza stan bogatych przemysłowców i kupców, wzrost zaś nauk liczne zastępy ludzi wybitnie wykształconych. Ogranicza to znaczenie moralne i materyalne „kasty“ urzędniczej, ogranicza znaczenie możności życia na większą stopę u jej członków, najniższe jej sfery spadają do rzędu „proletaryatu nędzy świecącej mundurem“ (str. 52). Cóż za tem pozostało „tym do tradycyi dawnej potęgi w myśli wciąż wracającym potomkom dawnych wszechwładnych reprezentantów średniowiecznej biurokracyi? Oto pozostał u r z ą d i r e s z t k a w ł a d z y, którą trzeba było jeszcze bronić przed atakami ze strony obywatela, dążącego do zupełnej emancypacyi z pod skrzydeł urzędów“ (str. 52).

Kasta więc zamyka się jeszcze ściślej w sobie, w jej myślach i działaniach występuje na pierwszy plan — oczywiście tylko zdaniem p. O. — troska o utrzymanie jej władzy, jakimbądź kosztem, środkami moralnymi i niemoralnymi...

Przydaje się jej w tym celu nabyta przez długie ćwiczenie zdolność kierowania sprawami publicznemi i znajomość zasad administracyi (te zalety autor wyjątkowo przyznaje tu urzędnikom! p. r.)

Wyzyskuje dalej biurokracya w tym celu system hierarchizacyi władz, wprowadzając z jego pomocą zasadę ślepego posłuszeństwa podwładnych urzędników wobec wyższych, co sprzyja duchowi kastowości i staje się wielką potęgą w walce o przywileje kasty...

Wreszcie używa ona do tego niemoralnego środka formy i szablonu (str. 52) wydając „krępujące coraz bardziej swobodę obywatelską przepisy formalne“ (str. 74), które są, według p. O., specyalnym „wynalazkiem na polu biurokratyczno-administracyjnem“. Prawodawstwo mianowicie zaniedbało sobie zastrzedz to ważne wydawanie przepisów formalnych i pozostawiło je nieostrożnie biurokracyi, która z tego skorzystała we własnym interesie.

Jesteśmy ciekawi dowiedzieć się nieco więcej o tym tak strasznym środku „przepisów formalnych“, który tak dzielnie służy podziemnym zamysłom biurokracyi, czyli złowrogiej „kasty urzędniczej“. Co rozumie p. O. przez te „przepisy formalne“.

I oto ku największemu zdumieniu, dowiadujemy się z dalszych wywodów p. O., że te „formalne przepisy“, to normy publiczno-prawne, regulujące koncesyonowanie różnych przemysłów, urządzenie statystyki rolniczej i przemysłowej etc., a zatem po największej części normy prawne, stwarzane właśnie przez konstytucyjne ciała ustawodawcze a nie przez władze wykonawcze, administracyjne.

Na koniec wszystkiego biurokracya urzędnicza dla utrzymania swej władzy i swych korzyści — zdaniem p. O. — wytworzyła w samej sobie rysy charakteru, które, gdyby były prawdziwe, świadczyłyby chyba o wielkiej nikczemności, mianowicie zdolność „akkomodowania się“ do każdego porządku rzeczy, zaciągania się bez skrupułu na służbę u nowych władców, których niedawno zwalczała jako uzurpatorów, czyli mówiąc językiem mniej pełnym frazesów niż pana O. do... prostej zdrady stanu.

Taką drogą idąc, dzisiejsi zawodowi państwowi urzędnicy, wytworzyli kastę, uważającą „państwo, lud i jego sprawę za swoją przyrodzoną domenę“ (str. 65).

To wyobrażenie, jakie na podstawie lektury „wstępu historycznego“ w dziele p. O. wytworzyć sobie musi czytelnik o dzi-

siejszym zawodzie urzędników państwowych, jest z gruntu fałszywe.

Ustrój społeczny, który zrodził tak niezasłużenie i niemiłosiernie maltretowaną i wprost nierozumianą przez p. O. instytucyę państwa prawnego, nie mógł i nie może żadną miarą doprowadzić lub doprowadzać do wytworzenia się „kasty urzędniczej", o cechach przepisywanych jej przez p. O. Przeciwnie właśnie ten ustrój społeczny dążył ustawicznie i nieprzerwanie do radykalnego wyniszczania wszelkich nawet śladów kastowości w ramach każdego zawodu, a więc i zawodu urzędniczego. Jako bowiem oparty na zasadzie wolności indywidualnej, ustrój ten społeczny, umożliwił jednostce należenie w jednym i tym samym czasie do wielorakich kół społecznych. Żadne z tych kół, właśnie dla tego, że ich jest wiele, nie może z natury swej zabsorbować całej treści duchowej jednostki, lub przynajmniej najznaczniejszej jej części, co jest nieodzownym warunkiem wytworzenia ducha kastowości.

Interesa najróżnorodniejszych kół społecznych, niejednokrotnie bardzo sprzeczne z sobą, kupią się w czasach dzisiejszych, w jednej i tej samej jednostce, a tem samem żadną miarę nie może ona także przejąć się interesami tylko jednego koła społecznego, bez czego również nie można mówić o duchu kastowości.

To też urzędnika dzisiejszego wiąże dziś ze społeczeństwem mnóstwo różnorodnych węzłów, prócz swego koła zawodowego jest on i czuje się członkiem mnóstwa innych kół społecznych, a w atmosferze wrażeń i dążeń, jakie stąd wnikają do jego duszy, coraz bardziej zamierają szczątki dawnego ducha kastowego, który niezaprzeczenie w czasach „państwa policyjnego", żył jeszcze wśród klasy urzędniczej...

Z drugiej strony rzekome egoistyczno-klasowe tendencye, które p. O. przypisuje niewiadomo, na jakiej podstawie urzędnikom, a które skupiać się mają w „traktowaniu ludu i jego spraw jako swojej przyrodzonej domeny", z czego, nawiasem mówiąc, nadto niedwuznacznie przebija rzucanie na urzędników podejrzenia nieuczciwego wyzyskiwania materyalnego ludności, gdyby nawet nie były chorobliwą fantasmagoryą p. O., prędko by skończyły swój żywot w nowoczesnem państwie.

Bo właśnie tak „państwo prawne", którego istoty p. O. zupełnie nie rozumie, jak szczególnie najnowszy typ państwa nowo-

czesnego, państwo socyalno-gospodarcze, oparte w swych etycznych podstawach na idei społecznej sprawiedliwości, zdawna odepchnęło od siebie ideę samowładzy i wyzysku ludności, rządzonej przez rządzące nią organa państwowe. Państwo nowoczesne nie stawia sobie wprawdzie jak niegdyś „państwo policyjne", zadania t. z. protegowania poddanych, czyli robienia ich szczęśliwymi przymusem, według własnej recepty i bez ich wspóudziału. Natomiast jednak jest ono przejęte na wskroś ideą bezinteresownego i kierowanego sprawiedliwością pomagania społeczeństwu w jego pracy nad jego rozwojem duchowym i materyalnym postępem! Ta idea, wykluczająca wprost z góry myśl wszelkiego wszechwładztwa państwowego lub wyzysku rządzonych przez nie, przesiąka do tego stopnia organizm dzisiejszego państwa, że i z tego powodu wytworzenie się klasowo-egoistycznego ducha kastowości wśród zawodu urzędniczego jest wprost niemożliwe![1]

P. O. za typ państw o ustroju biurokratycznym, posiadających rzekomo nowoczesną „kastę urzędniczą", uważa w szczególności Francyę a także i Niemcy. Rzecz dziwna! mimo, iż pisał „historyę urzędów i biurokracyi" nie wpadło mu wcale na myśl, że w dzisiejszej Europie istnieje także — Rossya, o której w swym wstępie historycznym nie mówi nic!

A jaka szkoda, że jeszcze i w tym względzie p. O. traktował rzecz ze zwykłą sobie powierzchownością. Gdyby był przypatrzył się bliżej Rossyi, która jedyna reprezentuje dziś w Europie jeszcze niemal czysty typ państwa, rządzonego przez „kastę" czynowników, stanowiąc pod tym względem wyjątek od całej Europy, byłby nie mógł nie dostrzedz lub udawać, że nie dostrzega różnic między „kastą" urzędniczą, a dzisiejszym zawodem urzędniczym, w państwach cywilizowanej Europy!

I w rzeczywistości. W cywilizowanej Europie, do której i my liczyć się mamy prawo, ostatnie czasy istnienia „kasty urzędniczej", przypadają w czasy stosunkowo już daleko po za nami leżącego „światłego absolutyzmu". Już „państwo prawne", które zarazem stało się państwem konstytucyjnem, wprowadziło na widownię życia społecznego w miejsce takiej „kasty", tylko

[1]) Wyjątki od tego stanu rzeczy, nieprzyjazne traktowanie pewnego społeczeństwa przez urzędników zdarzać się może dziś tam tylko, gdzie krajem rządzą urzędnicy obcy, nieprzychylni mu z narodowościowych pobudek. Ale w Galicyi są urzędnicy Polacy, a czasy „Precliczków" minęły dawno!

„zawód urzędniczy“, związany tysiącami innych jeszcze węzłów, niż zawodowych, ze społeczeństwem, i nie znający skutkiem tego ducha kastowości. Państwo zaś doby najnowszej, państwo socyalne i gospodarcze, zawód ten napełnia coraz bardziej tem, o czem p. O. zdaje się nie wiedzieć, czy nie chcieć wiedzieć, choć sam jest z zawodu „biurokratą“ t. j. etycznem poczuciem obowiązków wobec społeczeństwa, które ciężą nawet na najmniejszym i najmniej znanym pierwszym słudze idei dobra publicznego, urzędniku państwowym!

Witold Lassota.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.